

W dniu 3 (15) września r. b. przypada pięćdziesiąta rocznica zgonu Ludwika Kondratowicza, który zdobył sobie poczesne miejsce w naszej literaturze, pod mianem Władysława Syrokomli.

Przy tej sposobności chyba nie będzie zbytecznem zdać sobie sprawę dokładnie z dorobku, jaki po krótkim swym, co do czasu, żywocie, lecz długiem pasmem cierpień znaczonym,—pozostawił ten prawdziwie „z Bożej łaski" poeta skromnie tytułujący się „lirnikiem wioskowym".

Może właśnie, z okazji tej rocznicy, pojawi się więcej prac o Syrokomli, i w ten sposób wypełni się dotkliwa luka w naszem piśmiennictwie krytycznem, której nie zdołają zamaskować istniejące nieliczne i niewyczerpujące monografie — starsze, ze względu na zmieniony z biegiem lat punkt widzenia, nówsze ze względu na swoją pobieżność.

By z głębi ducha tego, dotychczas nie zbadanych, wskutek pewnego jakoby lekceważenia, a przynajmniej jakiegoś pobłażliwego traktowania tej samorodnej, odruchowej nieledwie pieśni, za jej dostępność i tę przedziwną prostotę, — wydobyć ukryte skarby, potrzeba tylko ducha jemu pokrewnego.

Za prostotę, nie za prostaczość, co niektórzy identyfikują, — należy się Syrokomli hołd największy, gdyż ona to właśnie, — to probież dla artysty najtrudniejszy; o takim właśnie, jak o największej nagrodzie, marzył niegdyś, też przez prostotę swoją, olbrzymi Mickiewicz, pragnąc dożyć tej pociechy, by księgi jego zabłądziły pod strzechy.

Goniąc za błyskotliwością efektów, przyzwyczajeni do zawiłych kombinacji myślowych i stylistycznych, — nie jesteśmy dziś dość uważni i duchowo wyczuleni na te zjawy naszego życia, które całą głębię swej treści pod pozorami szarej powszedniości kryją.

Syrokomla miał tę przedziwną spojrzenia i słuchu czułość, przed którą żaden odruch duszy bratniej się nie ukrył, żaden szmer chociażby w najdalszych głębiach puszcz naszych powstały, — nie zataił.

Zaprawdę, musiał słyszeć, jak trawa rośnie, a cóż dopiero, gdy szło o duszę ludzką i jej żywot, jej bóle ciągłe i rzadkie radości przebłyski...

Przyjrzyjmy się drodze jego żywota, rozwojowi jego talentu pieśniarskiego, jego przemianom i odmianom, może i my zbliżymy się do tych skarbów, ukrytych nie w zwaliskach zamków rycerskich, lecz pod strzechą wieśniaczą, na przyzbach ich chat, gdzie tak lubił siadywać lirnik wioskowy...

Dzieciństwo swoje i Syrokomla śmiało nazwać może wraz z Mickiewiczem — „sielskiem anielskiem".

Urodzony 17 września r. 1823 w Smołkowszczyźnie, wsi dzierżawionej przez ojca, w powiecie Bobrujskim położonej, — puszczony, jak się mówi, samopas, gdyż szczęściem, rodziców nie stać było na bony-cudzoziemki, — rósł mały Ludwiś, jak rówieśne mu brzozki i choinki w zagajniku, często głodno i chłodno, ni się przed śpieką letnią chroniąc, ni od szarugi jesiennej, a mrozów często tęgich zbytnio uciekając.

Lecz za to, jak i one, wzrok jego nie znał więziennych niemal murów miejskich, któreby mu jasny lub chmurny przestwór niebieski „jak okiem sięgnąć" przesłaniały...

Dziecko rosło i rozwijało się fizycznie i duchowo na łonie wielkiej, jedynej, przepotężnej siły, — przyrody, w kontakcie z nią nieustannym.



SYROKOMLA

Z PORTRETU RYPIŃSKIEGO.

Żyjąc życiem samej przyrody, wchodził Syrokomla od dziecka w jej tajniki, poznawał ją, a więc i ukochać musiał.

U samej kolebki jego odnajdujemy czynnik decydujący prawie o charakterze całej przyszłej działalności poety: obcowanie z przyrodą, zespolenie się z nią od dziecka, którego wynikiem staje się wielkie też jej ukochanie.

Jak przyroda zazdrośnie kryje swego ducha wdzięki przed okiem mieszczucha, który jej życiem nie żyje, jej smutków i trosk nie odczuwa, — okazując mu zaledwie zewnętrzną swoją postać, tak i przyrody tej dziecię, — lud nie przed każdym tajniki ducha swego otworzy... Lecz dla swego, dla brata, tajemnic nie posiada... Takim bratnim duchem ludu był i Syrokomla, gdyż bratnio z nim od dziecka obcował... Od dziecka wszedł duszą całą w świat wierzeń i podań ludowych, stojący dlań otworem; nie lekceważył go, nie zadrasnął słowem niebacznem świętości jego, umiał uszanować to, co dla „braci w siermiędze i braci w kapocie“ szanowania godnem było.

A co mu dali na duchową drogę żywota ci najbliżsi, dla których był skarbem najdroższym bez względu na wady lub zalety, co dali mu rodzice?

Ojciec, pan Aleksander, należał do tych ludzi, których się ceni dopiero po bliższem poznaniu: cichy, skromny, delikatny, w sobie zamknięty — na prostaka wyglądał, nikomu nie imponował, do pierwszych szeregów w społeczeństwie „per fas et nefas“ — się nie przedzierał.

Lecz pod tą niepozorną powierzchownością kryło się nauki nie mało, przez najlepszych ówczesnych pedagogów, X.X. Pijarów, wpojonej: słynął nawet p. Aleksander z głębokiego znawstwa dziejów ojczystych i z ich rozumnego ukochania.

To też i syn powie w przyszłości o prawym, świątobliwym, przez lud za świętego prawie uważanym ks. Dominiku Podolcu ze „Spowiedzi Pana Korsaka“, iż

„Ksiądz nie wyłudzał ofiar namową figlarną,
Lecz poprostu nazywał co biało, co czarno;
Niepamiętny na względy, co komu należą,
Zajazdy zwał rozbojem, procesa kradzieżą“.

Oprócz rozumnego patrjotyzmu wszczepia on jeszcze w du-

szę swego dziecięcia i prawość bezwzględną, którą się sam odznaczał. Przyszłe synowskie

„Redde quod debes“
„Oddaj coś winien“

przez usta widma Dęborogowego rzucone, to zasada, to wierzenie głębokie z pod strzechy domu rodzicielskiego wyniesione. To ojcowe dziedzictwo...

A cóż matka synowi swemu przekazała oprócz kobiałek z przysmakami wszelakiemi, wyprawiając go do szkół ks. Dominikanów w Nieświeżu?

W chwili pierwszego rozstania matki z dziecięciem, dusze ich musiały być przejęte do najtajniejszych głębi uczuciami pokrewnemi, jednakiemi prawie.

Rwało się serce matczyne za tem co traciło, tęsknota za odjeżdżającem dziecięciem je przepełniała. Tęsknota za traconem przeniknęła te dwa serca, matczyne i synowskie, z taką mocą, że już z pod jej panowania nie uwolnił się nigdy śpiewak lasów i niw litewskich, jak i od tej tkliwości uczucia, która jest cechą serc kobiecych, a nicią wyraźną przebiega przez wszystkie utwory Syrokomli. To spuścizna matczyna.

Szkołę Ks. Dominikanów w Nieświeżu przedstawia nam sam jej abiturjent w „Szkolnych czasach Jana Dęborogo“, jako zakład naukowy, gdzie dbano głównie o to,

„By rosła, jak trzeba, moralna w nas siła,
By każdą naukę uważać za bożą,
By każda nauka o Bogu mówiła,
By ludziom od dziecka wyłożyć najprościej,
„Że święty strach boży — początek mądrości“.

Oprócz wiadomości naukowych wynosi z niej Syrokomla pobożność szczerą i wdzięczność dla wychowawców, którzy

„Kochali dziatwę serdecznie i szczerze
Ćwiczyli po bożemu w nauce i wierze“.

Nie tu się jednak kończy wpływ szkolnych czasów nieświeskich.

Starożytne mury zamczyska Radziwiłłowskiego musiały budzić ciekawość ucznia szkoły Dominikanów, musiały mu przywo-

dzić na pamięć opowiadania ojca, wkładać do ręki odnośną lekturę... A piękno przyrody nowego otoczenia? Ten, kto od dziecka nauczył się z nią bratać, — nie potrafi nigdzie bez tego współżycia się obejść.

Nie bez znacznego pożytku dla przyszłej twórczości poety przeszły te lat cztery w Nieświeżu i rok jeden w Nowogródku, gdzie uczęszczał do quinty. Było to w dalszym ciągu zbieranie materjału, przetapianie go w tajnikach młodzieńczego ducha na szlachetny kruszec przyszłych pieśni.

Na tem skończyły się szkolne czasy Syrokomli: uniwersytet wileński już nie istniał, na wyjazd do innych, dalszych, środki nie pozwalały.

Ze szkolnej ławy wyniósł Syrokomla wielkie zamiłowanie do nauki i zrozumienie, że na tem, co mu szkoła dała — poprzestać nie może, to też po powrocie pod dach rodzicielski, zabiera się do pracy, pilnie wertując książki, które znalazł w domu lub zdobył, gdzie się dało.

Siedm lat takiej pracy, od 1836—1842, wydały rezultat olbrzymi, jeśli porównać program szkolny z tą ilością wiedzy, jaka w dziełach Syrokomli widzieć się daje i jeżeli wziąć pod uwagę warunki, w jakich uczyć się musiał...

Tylko kradzione u pracy obowiązkowej pomagania ojcu w gospodarstwie godziny, obracane być mogły na dalsze zdobywanie wiedzy.

Żadne przeszkody nie mogły go jednak zniechęcić i ojciec zgodzić się musiał wreszcie z tem, że zawód rolnika na małym kawałku ziemi, wymagający własnoręcznej pracy w polu i w domu, najmniej odpowiada jego synowi i zwyczajem lat minionych zawiózł go na „pański dwór“ do Nieświeża...

Czasy się były już zmieniły, dwór Radziwiłłów w Nieświeżu właściwie już nie istniał, gdyż książęta mieszkali za granicą, był tylko zarząd rozległych, pomimo wszelkie konfiskaty i nadużycia, dóbr.

Dwudziestoletni Kondratowicz dostaje się do zarządu w roli urzędnika i tu też rozpoczyna się właściwie jego zawód literacki nieoczekiwanie dla niego samego, zrazu przez pisanie wierszowanych listów satyryczno-humorystycznych, potem asumpt do prawdziwej pracy daje mu materjał, zdobyty przy badaniu starych aktów zamku Kopylskiego, z polecenia zarządu dóbr nieświeskich.

W ten sposób już nie przez opowiadania tylko, lecz dokładnie,

na mocy oryginalnych dokumentów zapoznaje się Kondratowicz z przeszłością swej rodzimej połaci ziemi.

Nie dziwna też, że cały pogrąża się w tych pamiątkach dawno minionej i bliższej przeszłości, by później spłacić należny dług, w myśl Dęborogowego: „Redde quod debes“, w postaci: „Zaścianku Podkowy“ i innych.

W tym czasie Michał Baliński pisze swe głośne dzieło „Starożytną Polskę“ i potrzebując danych historycznych o Nieświeżu, dowiaduje się o pracach Syrokomli w tym przedmiocie i drukuje takowe w trzecim tomie swego dzieła.

Była to pierwsza praca drukowana Syrokomli.

W tym też czasie zachodzi okoliczność, która na przyszłość poczynającego literata wywiera wpływ stanowczy, — to ożenienie się.

Skromna pensja urzędnika biurowego nie wystarczała na utrzymanie młodego małżeństwa, zawartego przez 21-letniego poetę. Trzeba było myśleć o „kęsie chleba“.

Znalazł się on w Załuczu, folwarku, należącym do dóbr już po-radziwiłłowskich (wittgenstejnowskich), dzierżawionym przez ojca poety, który się przeniósł do pobliskiej Tulonki.

Z radością wracał w wiejskie zacisze nadniemeńskie, tak bardzo przez się ukochane, aby na łonie jego leczyć ranę serdeczną za pomocą namiętnego wprost oddania się pracy literackiej.

Zrazu nieśmiało, kryjąc się pod pozornemi drwinami z natchnień poetyckich, jak „Słodycz marzenia“ lub „Dumanie poety“, — powoli przechodzi Syrokomla do otwartej działalności poetyckiej, której pierwsze próby utrwaliło wileńskie „Atheneum“ J. I. Kraszewskiego.

Pierwsze powodzenie, pochwały w „Atheneum“ nie zawróciły głowy początkującemu: rozumiał, ile jeszcze brakuje nietylko doświadczenia, lecz przedewszystkiem wiedzy. To też z całym zapałem oddaje się pracy nad jej dalszem zdobywaniem. Pomoc wielką wyświadczyła mu przedewszystkiem „Historja literatury“ Wiszniewskiego, podarunek ślubny teścia..,

Tą drogą trafia Syrokomla na myśl tłómaczenia naszych wielkich poetów-łacinników z w. XVI.

Podwójnie owocną była ta praca: dla literatury naszej, gdyż, zdaniem Al. Brücknera, znakomitego znawcy starożytnego piśmiennictwa naszego, przekłady te są głębsze, poetyczniejsze i żywsze,

niżeli same oryginały humanistyczne, — i dla samego tłómacza: — język jego nabrał siły i jędrności, a nadto wzbogacił się wielu formami dawniejszemi.

Dla szerszej więc publiczności otworzyły się skarby przeszłości ukryte dotąd pod niedostępną szatą łaciny. A bodaj, że głównie o to chodziło tłómaczowi i by oni

„Uczuli w sobie dawne serca bicie,
„Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
„I jedną chwilę tak górnie przeżyli,
„Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

I jego duch musiał mieć w sobie jakąś moc nie współczesną, jakowyś rycerski hart, że pomimo tak niesprzyjające warunki, jak prowadzenie osobiste całego gospodarstwa w domu i na roli, gdyż p. Aleksander postarzał już tak, iż musiał je zdać na syna, — zdołał w ciągu lat trzech przełożyć wszystkie utwory łacińskie Janickiego, Jana Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Smogulеckiego, Joachima Bielskiego, Klonowicza i liczne fragmenty z Szymonowicza, Dantyszka, Krzyckiego, Grzegorza z Sambora i wielu innych.

Śmiało rzec można, iż te trzy lata przeżył Syrokomla w wieku szesnastym, obcując duchowo z największymi potentatami naszej kultury ówczesnej.

To też refleks tego obcowania odnajdujemy w utworach późniejszych, jak „Kanonik Przemyski", „Zgon Acerna", „Stare Wrota" (1851—1856).

A we wszystkich, czy to o podłożu historycznem, czy z podań ludowych lub szlacheckich czerpanych, z łatwością odnaleźć się da ten „spirytus movens" walk, żywot człowieka przepełniających: zmaganie się kłamstw, — zła popłatnego na razie i prawdy — dobra gorzkiego, lecz w skutkach zbawiennego, gdyż zapewniającego spokój sumieniu:

„Bo fraszka sądy ludzkie — tam w piersiach głęboka
„Gorszy sąd... gdzie sumienie władzę rozpostarło",

jak powiada w „Chodyce". Zaś władzę tę rozpościera ono w całej pełni, gdy jest zbudowane przez krzywdę bliźniego, przez zerwanie nici przenaczenia człowieczego: dążenia do źródła swego pochodzenia duchowego, do źródła prawdy, — do Boga...

Ręką zbrodniczą szarpnięta nić, łącząca duszę ludzką z jej doskonałym prarodzicielem — duchem Bożym, rozkołysze dzwon sumienia z taką mocą, że dźwięk ten zagłuszy cały rozgwar życia, cały zgiełk jego, ze wszystkiemi powabami, pozbawi je całej wartości, doprowadzając do rozpaczy... do nowej zbrodni, lub do nawiązania starganej nici przez oczyszczenie ręki zbrodnią skalanej za pomocą pracy, podniesionej dla zgładzenia skutków winy z rozplenionego ziarna zła powstałych...

Dzwon sumienia dotąd huczeć będzie, aż ilość uczynionego dla ekspiacji dobra nie wyrówna ilości przyczynionego przez występek zła...

Taką pokutę w czynie dla oczyszczenia boskiego pierwiastku duszy ludzkiej przez występek, przez czyn zły, przez krzywdę bliźniego skalanej — podnieść jest zmuszony pod głosem sumienia i „Chodyka“ — gajowy i świetny towarzysz pancerny młody Kazimierz Korsak, połocki chorąży, pan mnogich zbiorów i włości, „rozhukany w szlacheckich rówieśników kole...“

Jeżeli zaś praca zadośćuczynienia etycznego dla własnego ducha i materjalnego dla bliźniego nie została dokonaną za życia winowajcy, to spada ona karą doczesną na głowę wyrodnego syna rodziny i obywatela kraju pod postacią dębowych belek ojcowskich „Starych Wrót“, druzgocąc rozpartego w karocy Szeligę, lub przechodzi w strasznym spadku na następne pokolenia, wołając na nie zagrobowym głosem Dęboroga.

„Oddaj coś winien“

swemu ludzkiemu przeznaczeniu i sąsiadowi..

To też do takich porachunków wzywa Syrokomla odwiecznych sąsiadów, niestety w odwiecznej żyjących waśni: — dwór i chatę, pana i poddanego... i jak zwykle zajmuje stanowisko bezstronne.

Dobitnie wskazuje zalety i wady stron obu:—brak serca i wyrachowanie, i zawsze się opowiada po stronie nieszczęśliwego upośledzonego bez względu na jego stan, pochodzenie lub narodowość.

Że zaś jego życie własne „poematem nie było“, że sam od dziecka musiał z biedą się borykać, snadnie mógł wejść w duszę cierpiącą, odczuć bóle i materjalne i te moralne, które z nich początek swój biorą.

Gospodarstwo rolne, któremu z konieczności tylko i z ukochania wsi się oddawał, nie mogło zaspokoić rosnących potrzeb ro-



DOM W WILNIE
W KTÓRYM ZMARŁ SYROKOMLA.

dziny, z drugiej strony nie mógł Syrokomla oddać się z całą swobodą i spokojem pracy literackiej, gdyż ta nie zapewniłaby mu też bytu, jeżeli przypomnieć sobie, że za historję literatury polskiej dostał poeta rb. 150 ...i sakiewkę na pieniądze!

Marzy też w tym czasie poeta o nabyciu niedużego folwarku, Pawłokowszczyzny, na własność, idealizując pracę na własnym kawałku ziemi, bez poddanych, na wzór intensywnych gospodarstw rolnych w Niemczech i Anglji.

Pawłokowszczyzna pozostała w krainie marzeń poetyckich, wskutek braku gotówki, a rzeczywistość natarczywie domagała się odpowiedzi na zapytanie: „co będzie jutro?"

Pewnikiem niezbitym było to, że Załucze nie jest w stanie wyżywić poety-rolnika. Natomiast wiele nadziei mógł pokładać Syrokomla w swoje pióro, którego rozgłos stawał się coraz większym.

Postanawia więc oddać mu się niepodzielnie, wejść osobiście w ściślejsze stosunki literackie z wybitniejszymi przedstawicielami literatury w większem środowisku w Wilnie, ażeby za ich pomocą oddziałać przez swoje utwory na szerszy ogół.

Niedoświadczony, nie przeczuwał, że ludzka życzliwość, której oznaki coraz częściej spotykał w przychylnych ocenach jego utworów w pismach, w listownych oświadczynach, inaczej wygląda zdaleka, inaczej zaś przy osobistem zetknięciu się, a cóż dopiero, gdy przyjdzie czas słowo-obietnicę na czyn zamienić.

Wkrótce, bo po półrocznym niespełna pobycie, przekonał się, że jego myśl przewodnia — prowadząca go do Wilna, do stolicy jego kraju, w celu połączenia w jedno dla wspólnej, owocnej dla ducha narodu pracy, podzielonego na liczne kłócące się ze sobą koterje, często nie zdające nawet sobie dobrze sprawy o co się kłócą... nie stanie się ciałem!..

Nie mógł, zdawałoby się, narzekać Syrokomla na doznane w Wilnie przyjęcie, gdyż nazwaćby je można wprost owacyjnem.

Lecz właśnie nie owacje były celem Syrokomli, lecz praca nad „uśmierzaniem swarów, skrócaniem nienawiści, łagodzeniem waśni, skupianiem tego, co się rozpierzchło i t. d.", podłóg słów Unji Horodelskiej.

Słowem nad tą przewodnią myślą twórczości wszelkiej na harmonji duchowej opartej tak, jak twórcze życie przyrody...

Czując od dziecka tę harmonję, to do jednego celu dążenie w

całej przyrodzie, — chciał poeta przekonać swoje społeczeństwo o konieczności takiej jedni.

Przekonał się wkrótce, że i owacje, których nie lubił, i przyjęcia, które mu tylko dużo czasu zabierały, miały na celu nie uczczenie go jako poety, lecz skaptowanie do swojej partji.

To go dotknęło bardzo i zniechęciło, gdyż w listopadzie r. 1853 pisze do Kraszewskiego:

„Cierpiałem niemało, że mnie dobrzy ludzie pojąć nie chcieli, że moim dobrym chęciom i poczciwym dążeniom Bóg wie jakie naznaczyli powody; cierpiałem zato, że kochanemu Wilnu podobało się czcić mnie przyjęciami, o które nie prosiłem, a których ckliwość czułem od pierwszej chwili. Za rozgwar chwały okrzyknęli mnie obmową, za dym kadzideł napoili żółcią, a ja, co do pierwszych nie przywiązywałem wagi, nie umiałem znieść drugich... Teraz postanowiwszy przyjąć ludzi takimi, jakimi są, otoczywszy się kółkiem tylko prawdziwych przyjaciół i postanowiwszy nie czynić z siebie żadnych ustępstw, lecz być takim, jakim jestem, zresztą, z piórem i książką — czuję, że mi lepiej“.

Wielkiem musiało być zniechęcenie, głęboko odczuć musiał poeta zawód, który go w Wilnie spotkał, — „gdzie, jak powiada, miałem grać rolę pojednawczą, gdzie chlubiłem się, że mnie nikt w żadne stronnicze kółko wciągnąć nie potrafi. Skończyło się bardzo prozaicznie: upadłem pod komarowemi żądłami plotek, obmowy ludzi, co mnie zrozumieć nie chcieli, czy nie mogli. Wyjechałem o dwie mile od miasta, wziąłem dzierżawę, pomimo, że gospodarzyć nie umiem i nie lubię.

Nie mogę i nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali...“

Usuwa się więc do Borejkowszczyzny, by tam, przy zetknięciu się z matką-ziemią, jak mityczny Anteusz, odzyskać siły ducha.

Potrzebuje kojącego obcowania z przyrodą i z samym sobą tak, jak po pierwszym zawodzie serdecznym... To też odrzuca zaszczytną i popłatną propozycję Wolffa — objęcia kierownictwa „Bibljoteki Warszawskiej“.

Przygnębienie musiało być wielkiem, jeżeli sam powiada: „Przyjaciele tu mi piszą, żem przeżył siebie, a cóż mówić o niechętnych. Wiary dajcie mi, wiary w ludzkość, wiary w najświętsze uczucia, a czuję, czem jeszcze być mogę, a spełnię, co spełnić powinienem“.

Brak tej wiary, to przygnębienie znać też i w utworach Syrokomli w tym czasie powstałych... Brak im tej woni kwiatów polnych, tchnienia rozłogów szerokich, poszumu leśnego, brak im tej przedziwnej prostoty i szczerości, w których Syrokomla jest niezrównany, — natomiast przebija często gorycz, ironja do sarkazmu posunięta, które mącą pogodny, serdeczny liryzm poety.

„Niepiśmienny“, „O Zabłockim i mydle“, „Pan Marek w Piekle“, „Filip z konopi“, „Matysek“ — powstałe w tym czasie.

W stanie takiego przygnębienia opuszcza Syrokomla Wilno i w kwietniu 1853 r. przenosi się do Borejkowszczyzny, gdzie w ciągu niecałych czterech lat powstaje szereg dzieł zyskujących autorowi większy jeszcze rozgłos i wzbogacających szczodrze literaturę ojczystą.

Warunki, wśród których pracuje poeta, nie tylko że się nie polepszyły, lecz odwrotnie, pogorszyły się nawet, gdyż trzeba było myśleć nie tylko o sobie i dzieciach, lecz, jak powiada:—„przyszło mi kłopotać się sprawami mego ojca, który ma tutaj z możnym panem interesa z rzeczy dzierżawy...“

Kłopoty te znalazły swe odbicie w jednym z najpiękniejszych utworów Syrokomli:

„Kęs Chleba“ — to rzecz mała i prosta, niepokaźna, nieimponująca blaskiem i brzękiem zewnętrznym, prosta i skromna, jak dusza tego, kto ją wyśpiewał, jak łan, na którym pracował stary Łagoda, a tak przez autora ukochany, że powiada:

„Tameczne łąki znam po aromacie
Wodę tameczną po smaku odgadnę.

. . . .

Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozeznam płucami,
Bo tamte strony ukochałem szczerze“.

Ale dolegliwości życiowe odbiły się też i ujemnie na twórczości poety: — musiał tworzyć nie tak, jak chciał i nie to, co chciał, — lecz to właśnie, co znajdowało popyt, co łatwiej znajdowało nabywcę, a pisane naprędce, na zamówienie często, nosi na sobie cechy pewnego przymusu, a przynajmniej nie licuje, ani z rodzajem talentu Syrokomli, ani z jego charakterem, ani z dążeniami i upodobaniami.

Gdy przyjaciele zwracali mu uwagę na całą szkodliwość takiej pracy, odpowiedział: „Nie mam chleba!“

Do tego rodzaju utworów, bezsprzecznie posiadających wielkie zalety we fragmentach, w obrazowaniu, i w części niepozbawionych największej zalety twórczej poety — uczucia i szczerej prostoty, w całości jednak tchnących czemś obcem, jakby chłodem, pozą nawet, należą utwory o podkładzie historycznym, ujęte w epicką formę, poecie z gruntu obcą.

Nie mając możności zatrzymywać się nad każdym utworem z osobna, chociażby nawet znaczniejszym, zaznaczając tylko główne wytyczne kolei twórczych Syrokomli, nie sposób pominąć milczeniem fraszki napozór, w rzeczy samej zaś utworu niepospolitych zalet, w którym poeta potrafił stworzyć to, co było jego właściwością charakterystyczną, cechą jemu tylko właściwą, z tem, co było mu z ducha obce, sztywne, uczucie prostego, czystego serca z faktem o zabarwieniu historycznem...

„Terefere i Szerpentyna“ — to mały klejnocik, lecz wartości niepospolitej, nie ze względu na materjał, lecż na artyzm twórczy... W „Zgonie Acerna“ odnaleźć się da „credo“ poetyckie „lirnika wioskowego“, które pomimo tylu lat i przejść różnorodnych nie zmieniło się w porównaniu z wyrazem zapatrywań Syrokomli na stanowisko poety, wyrażonych w znacznie wcześniejszem wyznaniu: „Liro ty moja śpiewna“!..

Jak tu, tak i tam pozostaje poeta wierny niezależności swej liry od możnych świata tego, powiada:

„Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich,
Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
U progu ci chyba grać każą“

przestrzega „Grajek wioskowy“,

„Niech raczej z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści“.

a „Lirnik“ głosi:

„...znaj co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę,
Ani pieśni, ni głowy — hardy lirnik wioskowy“.

Jedyną dlań zapłatą pożądaną, — to odczucie serdeczne jego piosenek:

„Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!“

I przez usta umierającego Acerna, jakby widzeniem proroczem natchniony, powiada Syrokomla o sobie, zwracając się do Jana z Czarnolasu:

„Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
Słabo grałem, lecz grałem, jak mi serce każe.
Możem popsuł jej struny niewdzięczny harfista,
Ale z rąk moich wychodzi nieskalana, czysta,
Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
Grałem przy niej dla Boga i dla miłej braci.
Mistrzu mój! ty w niebiesiech zarzutu mi nie dasz,
Że choć jeden dźwięk struny puściłem na sprzedaż“.

W „Wielkim Czwartku“ i w „Janku Cmentarniku“ ucho czytelnika uderza dźwięk ponury, dotąd nieznany, — głos rozpaczy, spowodowanej bolesnym zawodem, druzgocącym największe ukochanie, skarb duszy ludzkiej — miłość kobiety i miłość ojczyzny.

Poddając się rozpaczy wskutek zawodu, jaki ich spotyka i Szymon, widząc swoją ukochaną w objęciach innego i Janko — widząc, że ta, dla której tyle życia i szczęścia ludzkiego poświęcono, dla której i on żył i cierpiał — ojczyzna, dla innych, dla pozostałych w jego rodzinnej wiosce jest niczem, dźwiękiem tylko, obcym prawie, zaczynają „zaglądać do czarki“, stają się odludkami... Wyraźnie daje do zrozumienia, że wśród wystygłego dla wszystkiego, co wielkie i wzniosłe, a ofiar wymagające, współczesnego mu pokolenia, dla niego, co chciałby

„Żyć ze wszystkimi i czuć bratnią spójnię“

miejsca już niema...

Nie wraca znękanemu poecie radości życia i pobyt w r. 1857 w Warszawie, która spotyka go i podejmuje entuzjastycznie, wystawia dramat znowu „Hrabia na Wątorach“, pragnie go widzieć na czele poważnego dziennika, zatrzymuje u siebie...

Nie daje się skusić odludek-poeta, gdyż pod pochlebnem przyjęciem, pod zaszczytnemi propozycjami nie czuje tej jedynej dźwigni, któraby go na duchu podnieść mogła, a lirę jego ożywić, — nie czuje serca... prawdy, a wszak już powiedział w „W. Czwartku“:

„Ale ja prawdzie muszę być posłuszny“.

Wraca więc do Borejkowszczyzny, a właściwie ucieka z niej przed czeredą obsiadujących go stale i zabierających mu drogi czas „przyjaciół“ do Wilna, gdzie zamieszkuje na Popowszczyźnie, by „żyć tylko z Bogiem, książką i naturą...“

Pomimo przygnębienia ducha i wciąż pogorszającego się stanu zdrowia, jakby czując, iż lata jego są policzone, pomimo, iż, jak sam powiada: — „W chorem sercu, w zbolałej głowie taki bezład, że niepodobna mi nawet zażyć najskuteczniejszego na cierpienie ducha lekarstwa — pracy. Pióro z rąk wypada“... pióra tego nie wypuszczał.

W czasie tym powstają rzeczy takiej miary, jak „Kasper Karbiński“ i „Ułas“, że w cieniu ich znikają zupełnie mniejszej wartości „Królewscy lutniści“, „Najmłodszy z toporczyków“, „Nocleg Hetmański“ i inne.

Ima się poeta formy nowej, dla rodzaju talentu swego obcej, — dramatu, nie dlatego, iżby nie zdawał sobie sprawy z jego istoty, lecz rozmyślnie, chcąc scenę polską zasilić utworami oryginalnemi, rugując w ten sposób rozwielmożnione przekłady z języków obcych.

By stawić przed oczy skarlałych potomków obraz duchowej potęgi, zupełnego zaparcia się siebie w bohaterskim, pełnym nadludzkiej wprost mocy, czynie Kaspra Karlińskiego, by zestawiając w „Ułasie“ szlachtę i włościan — rzucić pytanie głębokie:

„Zobaczymy, szlachcicu, kiedy groza minie,
„Czy potrafisz chłopowi wywdzięczyć się szczerze!“,

by wskazać w „Wiejskich Politykach“, — jak być powinno i jakby być mogło, jeżeli tak nie jest, to czyja w tem wina i szkoda, — a czyja wygrana tam, gdzie dwaj bracia się waśnią...

Nie umie Syrokomla dla zobrazowania stanu swej duszy znaleźć odpowiedniej, dramatycznej formy, lecz w rzeczy samej dusza ta jest najokropniejszych dramatów pełna...

W dalszym ciągu, brak środków materjalnych, złość ludzka i choroba piersiowa, nastrajają lutnię jego, tak niegdyś rzewną i śpiewną, na ton coraz tragiczniejszy...

Wypoczynek w Druskienikach nie daje chorym płucom zdrowego oddechu, wyjazd za granicę, do Krakowa i Poznania otuchą go nie napełnia, gdyż w jego ukochanem Wilnie stała się rzecz dlań straszna, wydobywająca z duszy jego głos pogardy i oburzenia.

Oto zebrani w stolicy Litwy przedstawiciele ziemiaństwa na naradę w sprawie nadania włościanom gruntów przez nich od wieków uprawianych, uchwalają tylko drobne zmiany w dotychczasowem położeniu włościan, nie chcąc nawet słyszeć o zupełnem ich wyzwoleniu, nie bacząc na to, że już w r. 1818, ich przodkowie, ta sama szlachta wileńska, przyznała włościanom prawo własności do gruntów przez nich uprawianych i zupełne zniesienie pańszczyzny.

Oburzony do głębi Syrokomla pisze znany wiersz, który kończy wykrzyknikiem:

„O! wstyd mi Wilna! nie chcę być Litwinem,
I hańba mojej herbowej pieczęci!“

Słabnącą wciąż bardziej i bardziej dłonią nie przestaje jednak, oddany całą duszą swemu powołaniu, jak powiada, — „budzenia głuchych“ — uderzać w dzwon ich sumienia, On wie, że:

„Dzwony na głuchych dzwoniły i dzwonią,
A przecież ludzkiej nie budzą głuchoty“.

więc trzeba:

„Dzwonić na sennych, budzić czyn uśpiony,
Na samolubów, na ludzi złej woli,
Rozbić w przestrzeni siłą kołatania
Chmurę przesądów, co słońce zasłoni“.

On wiedział już napewno, że jego oręż do rozbicia tej chmury, do odsłonięcia słońca prawdy, za słaby i, goryczą napojony, daje radę innym

„...nie z sercem idź do świata, lecz z wiedzą;
„Kto chciał szukać w sercu zalet, był skaran...“

lecz sam za tą radą swoją nie pójdzie, gdyż „...kogo słowikiem stworzono,

Ten śpiewać już musi“.

chociaż „...głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze“.

„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
„Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!“,

lecz znużone pracą, stargane chorobą ciało odmawiać zaczyna posłuszeństwa:

„Już ból wysilenia rwie piersi...
„On tego nie czuje, bo w swojej piosence
Utopił się cały!

. . . .

„Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej
Z sił swoich ostatka,

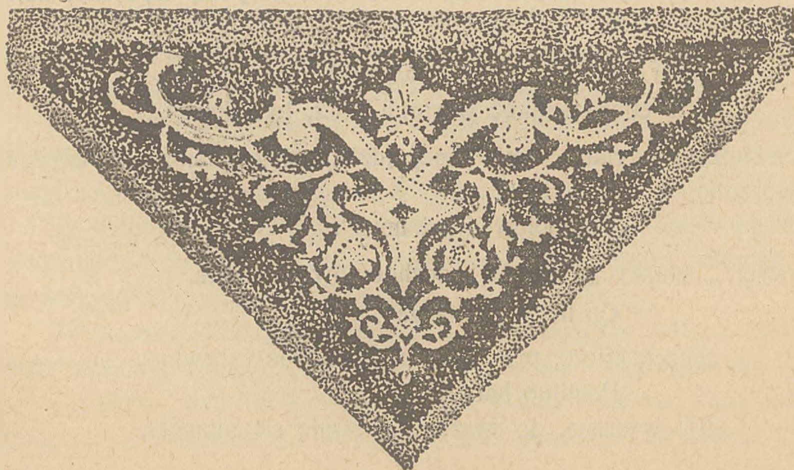
„A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy...“
aż wreszcie:

„Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
„I ten, co pieśniami górował nad knieją
Tu zerwał swe siły...“

Tu w Wilnie śród swoich...

Śród swoich, którzy go nie poznali, a przynajmniej nie tak, jak tego pragnął i jak na to zasługiwał, śród swoich, których tak ukochał, że żadne propozycje popłatne i zaszczytne nie zdołały go oderwać od nich, którzy wzamian pozwolili mu żyć i żywota dokonać w nędzy...

Józef Wierzyński.



„LIRNIK WIASKOWY".

Pamiaci Wł. Syrokomli.

Nie ab šumna - razhulnaj biasiedzie - wiasielji,
Nie ab sławie zabytaho kraju,
Nie ab wichrach i burach, što świety ciarpieli,
Hetu pieśniu siahońnia składaju.

Wylić dumku chaču — chaj snuje u biazmiery —
Dumka - pamiać, što ŭ sercy zalehła,
Ab tej zorce, što niekali z dobraju wieraj
Nad ziamielkaj jaśnieła i źbiehła.

Ab muzyce, što liraj swajej čaradziejskaj
Mnie ŭ duszy świetyč wyklikaŭ nowy,
Kab żyła choć na čas krasaj kwietkaŭ - praleskaŭ,
Jak żywie wiečna Lirnik wiaskowy.

Nad Wiljoj, dzie stalica była Giedymina,
Na mahiłkach, što Rossa zawucca,
Kurhanok tam ubačyš pakryty dziarninaj,
Nad dziarninaj biarozki trasucca.

Sumna šepčuć halinki zimoju i letam
Ab życci pachawanym pad imi;
Ludzi chodziuć malicca nad nasypam hetym,
Paświencaci ślezami żywymi.

Piaćdziesiat raz u zieleń wiesna spawiwała
Niwu našu i nasyp żwirowy, —
Nad kurhanam tym sercaŭ miljony šeptało:
Daj Boh raj tabie, Lirnik wiaskowy.

Na zialonym ćwietučym łahu - sienażaci,
Het pad lesam, za wioskaj biedačaj
Pieśniu - múzyku sumnuju zdala čuwaci:
Pastušok tam na dudce tak płače.

Zwonie koskaj kasiec, tolki wodhałas ljecca,
Sam, jak kołas, chistajecca ŭ poli...
Na zahonie żnieja nad snapočkami hniecca, —
Sonce ichnej dziwujecca doli...

Pastušok i kasiec toj, i żniejka - dziaŭczyna,
Pachiliŭšy markotna hałowy,
Tuju pieśniu piajuć, što minŭšaj časinaj
Im astawiŭ ich Lirnik wiaskowy.

Pieśni hetaj znajom i pałac murawany,
Što ŭ chmialinych bialeje pawojach, —
Na pačesnym kutku zasiedaje żadanaj
Miłaj hościu ŭ bahatych pakojach.

I ŭ zaścienku šlachockim, što z wioskaju blizkaj
Tuju-ż dolu - niadolu haduje,
Heta pieśnia pływie nad lipowaj kałyskaj —
Hetak maci nad dziciem biaduje.

Z matkaj rečka i wiecier pa swojmu zapieli,
Zašumieu bor zialony, sasnowy,
Jakby tyje napiewy jany zrazumieli,
Što złażyŭ čujny Lirnik wiaskowy.

A kali ty, harotnik, tułač biezziamielny,
Budzieš dolaj zakinut u horad, —
Ty pačuješ i tam hołas toj niepaddzielny,
Što spotkaci, pačuć byŭ daŭno rad.

Ci sirotki, k ścianie prytuliŭšyś chałodnaj,
Noč prawodziuć, uschodu čekajuć,
Ci nieščasnaho ŭbačyš jak hniecca hałodny —
Ty spytaj — jany Lirnika znajuć.

Tam i siniaja mhła, jak nastanuć marozy,
Na mury sieje puch brylantowy,
Byccam tyje praŭdziwyje świetłyje ślozy,
Što kaliś wyliŭ Lirnik wiaskowy.

Ŭsiudy Lirnik swajej čaradziejskaju liraj
Dumki - čary, jak kwietki razsiejaŭ, —
I ci ŭmior, ci żywie miż ludźmi dalej ščyra —
Adhadaci małaja nadzieja.

Čas patrapie usio pakryšyć, adaleci,
Puty nawat zmarniejuć u pleśni, —
Poki - ż budzie duša choć adna żyć na świecie,
Buduć życi i lirnikaŭ pieśni.

Budzieš żyć! Buduć wieki iści za wiekami.
Nie zabuducca dum twaich słowy,
Jak i słoŭ biełaruskich, żywučy miż nami,
Nie zabyŭsia ty, Lirnik wiaskowy.

Janka Kupała.





...Wesołe towarzystwo rozlokowało się względnie wygodnie na wiejskich bryczkach, ruszyliśmy śród wrzawy i śmiechu zaimprowizowanego audytorjum rozmaitego pod względem wieku, stanu i płci, natomiast absolutnie jednolitego — narodowościowo.

Droga nasza stromo pnie się pod górę, początkowo jedziemy po lichym bruku, później tonąc w piasku po osie wśród coraz to rzadszych domów przedmieścia, coraz to gęstszych, bujniejszych sadów podmiejskich.

Raz jeszcze zwracamy wzrok w stronę Wilna, leży ono malowniczo w głębokiej kotlinie, otoczonej pasmem wzgórz, labirynt dachów dziwacznie połamanych, brunatno czerwonych, nad któremi panują wysokie, szare mury świątyń. Przed nami rozpostarło się szerokie płaskowzgórze, przecięte gdzieniegdzie spadzistymi wąwozami, na dnie srebrne wiją się strumyki, skacząc wesoło z kamienia na kamień, lub chwilami jak gdyby ginąc w piasku, zmierzają ku Wilji „naszych strumieni rodzicy".

Droga nasza zwraca się na lewo; na wschód, jak sierpem rzucił, jak okiem sięgnąć, wybiega szeroki, piaszczysty, nieskończony zda się gościniec oszmiański, który przez Oszmianę, Mińsk, Smoleńsk, Wiazmę prowadzi aż do Moskwy. Odwieczny, historyczny trakt, którędy przez wieki nieustannie z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód płynęły dwie kultury: polska i moskiewska.

Tędy szły liczne poselstwa niosąc to pokojowe orędzia, to groźną zapowiedź wojny, ciągnęły sznurem nieskończonym karawany kupieckie, waliły niezliczone zastępy wojsk. Ciągły stosunek dyplomatyczny, handlowy, kulturalny między Polską a Moskwą, zachodem i wschodem, płynął tem oto korytem, tu się spotykały dwa światy: Europa i Azja.

Tędy z kulturą moskiewską sączyła się wiara wschodnia, która Litwę rozdzielić miała na dwa obozy. Tędy nieznany, nocą umykał zbieg Griszka Otrepjew, by potem na czele wojsk polskich i moskiewskich, jako carewicz wrócić na tron moskiewski. Tędy ciągnął wspaniały orszak Maryny. Tędy szły dzielne Żółkiewskiego zastępy, by torować drogę królewiczowi polskiemu do stolicy carów. Tędy za Jana Kazimierza wtargnęły na Litwę wojska moskiewskie. Tą drogą nareszcie leciały złote orły Napoleońskie.

Ile łez i krwi wsiąkło w piasek tej drogi, ileż to przylgnęło do niej wspomnień! Tędy szły świetne orszaki posłów ze stron dalekich, z Hiszpanji, Francji, Anglji, tędy ciągnęły karawany kupieckie z Persji, z Chin i Tartarji. Tędy mknęły sznurem nieskończonym z brzękiem dzwonków i... kajdan kibitki, uwożąc kwiat naszej młodzieży ku mrocznym podziemiom syberyjskiej kaźni.

Od czasu zaprowadzenia kolei żelaznych trakt historyczny stracił swe dawne znaczenie, służy obecnie wyłącznie miejscowej komunikacji. Prastare brzozy przydrożne, pamiętające być może jeszcze czasy Rzeczypospolitej, gdzieniegdzie się zielenią, większa część jednak zaschła, wypadła...

Przejechawszy milę stajemy na krótki popas w Niemieży. Właściwie są tu aż trzy Niemieże: więc na prawo od gościńca prastara osada tatarska Niemież, z niedużym, drewnianym meczetem, na lewo dwór Niemież, nieco dalej zaś wioska tej samej nazwy.

Piękne dobra Niemież, niegdyś królewszczyzna, dziś są własnością Benedykta hr. Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu. Pałacyk dość okazały, chociaż nowszej daty, podobnie jak i reszta budynków folwarcznych, piękny obszerny park, prastare lipy oznaczają miejsce, gdzie prawdopodobnie stał ongiś stary, drewniany dwór. Najpiękniejszym, bo najbardziej charakterystycznym zabytkiem budownictwa naszego, jest stare karczmisko przydrożne. Ogromnych rozmiarów, z kamienia polnego murowana, z typowym „podcieniem“ na słupach. Wewnątrz wszystko typowe, począwszy od ław, stołów i „szynkwasu“, kończąc na siwobrodym arendarzu i jego

ładniutkiej córeczce. Orzeźwiwszy się szklanką wybornego piwa z tyszkiewiczowskiego browaru, przypominamy stare dzieje.

Niemież, podobnie jak cały ten trakt historyczny, niejeden wielki pamięta moment. Tutaj witał uroczyście Aleksander Jagiellończyk swą narzeczoną, księżniczkę Helenę, córkę Iwana III, tutaj Jan Kazimierz zawarł zgodę z Aleksandrem Michajłowiczem.

Przejechawszy kilka stajań spostrzegamy na lewo przy trakcie, na wyniosłości, skąd piękny na okolicę widok, murowany pomnik grobowy, wystawiony roku 1794 pułkownikowi Dejowowi, o którym wspomina Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“:

„...jako Dejów, moskiewski Jenerał,
Wchodząc z pułkiem kozaków, już bramę otwierał,
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki“.

A zdarzył się ten fakt po powstaniu Jasińskiego, kiedy wojska litewskie ustępowały ku Warszawie; Rosjanie zbliżyli się do opuszczonego Wilna. Pułkownik Dejow, kazańskiego pułku piechoty, na czele swego oddziału wjeżdżał przez Ostrą Bramę; ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin — podobno szewc Czarnobacki, spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku (Ś-go Kazimierza) kartaczami nabitą, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalił wówczas Wilno. Pułkownik Dejow śmiertelnie raniony, oddział jego, lękając się zasadzki cofnął się traktem oszmiańskim, i tu przy drodze pogrzebał zwłoki swego dowódcy, któremu zwycięski rząd tegoż roku jeszcze wystawił tu pomnik.

Droga wciąż łagodnie pnie się w górę, coraz to szerszy, piękniejszy widnokrąg. Oko gubiąc się w przestrzeni, ogarnia przecudny krajobraz, morze zieleni i czarne, świerkowe lasy. Przyroda nie poskąpiła tu swych uroków, natomiast grunt lichy, piaszczysty, tylko dzięki usilnej pracy i wyższej (bo blizko miasta) kulturze, jakie takie daje plony. Okolica staje się bardziej jeszcze urozmaicona, zlekka falista, na lewo, na szczycie pagórka kilka prastarych, rozrośniętych sosen. Niespodzianie zwracamy z gościńca na prawo, wiejską drożyną: to Borejkowszczyzna. Serce żywiej uderza, a rzewność ogarnia na myśl, że tu właśnie, w tem uroczem, lecz ubogiem ustroniu ostatnie lata skołatanego żywota

spędził nasz lirnik ukochany — Syrokomla. Toć w tym roku 50 lat upływa, odkąd na wieczny spoczynek złożono ciało jego na wileńskim cmentarzu. Pieśń jego żyje, żyje pamięć nawet śród ubogiego ludu — czy pozostały jakie ślady pobytu wieszcza naszego? Oto kilka kamieni przy drodze, tu stała niegdyś karczemka drewniana, w niej mieszkał Kaciukiewicz, karczmarz zarazem i faktotum, który nieraz wyręczał poetę w jego kłopotach materjalnych, doglądał gospodarstwa i w sekrecie co dnia przynosił ów „kielich gorzały", który z czasem coraz bardziej stawał się obfity, aż w końcu stargał wątłe siły pieśniarza.

Wjeżdżamy w podwórze, typowe podwórko szlacheckiej litewskiej siedziby: porosłe murawą upstrzoną kwieciem polnem, wydeptane ścieżki — jedna do zabudowań folwarcznych, druga do sadu. I dworek typowy, drewniany; ganek obszerny, dzikiem winem porosły.

Domek wybudowany na lekkiej pochyłości, więc prawe skrzydło jego wznosi się na dość wysokiem podmurowaniu, gdy lewe dotyka ziemi. Dzięki temu właśnie podmurowaniu zachowało się skrzydło prawe w tym samym stanie, jak było za bytności poety, gdy lewe zostało na nowo odbudowane. Robiono z tej przyczyny gorzkie wyrzuty właścicielowi Borejkowszczyzny, oraz jej wieloletniemu dzierżawcy — zdaje się nie całkiem sprawiedliwe, gdyż, jak mnie objaśniono, lewe skrzydło, ponieważ zbudowane bezpośrednio prawie na ziemi, z biegiem lat zmieniło się na próchno i byłoby rozsypało, co jest bardzo prawdopodobne, gdyż domek był stary i nadwątlony już za czasów Syrokomli.

Przeróbka mało zresztą zaszkodziła, gdyż zachowano mniejwięcej dawne rozmiary i rozkład. Dziś obydwie połowy poczerniały, robią wrażenie całkiem harmonijne. Co główna zaś — zachowało się bez najmniejszych zmian skrzydło prawe, które służyło poecie za mieszkanie, gdy w lewem mieściła się piekarnia. Dworek nie duży, ogółem może kroków 20-cia, dwa okna na prawo od ganku, trzy na lewo. Wchodzimy do wnętrza: niziutkie sufity belkowane, duży stary piec kaflowy, ogrzewający bodaj pół domu, ogromnie tu swojsko, atmosfera taka serdeczna, stare meble, na ścianach stare obrazy. Pokoik poety: narożny, pięć kroków wzdłuż i tyleż może w szerokość, skromna to izdebka, lecz zawsze słoneczna, gdyż jedno okno wychodzi na wschód, drugie na południe. Zamiast firanek od słonecznej spiekoty — za oknami gąszcz bzów i jaśminów; oko

tonie w świeżej zieleni, przetkanej gęsto złotymi promieniami słońca, pełnej woni, szczebiotu ptactwa i brzęku pszczółek. Dziś zajmuje pokoik poety Francuzka, nauczycielka dwojga pociech obecnego gospodarza Borejkowszczyzny, okaz niemniej typowy, jak całe otoczenie, niezbędny w inwentarzu każdego starego dworku na Litwie. Mimo sędziwego wieku ogromnie żywa, z nieodstępnym, grubym papierosem w ustach, entuzjastyczna wielbicielka Napoleona, o czem nas na wstępie informuje, pokazując z dumą staroświecką tualetkę czeczetkową, styl empir, przed którą... mógł się golić Napoleon podczas swej ucieczki; jakkolwiek na poparcie tego wiekopomnego faktu niema najmniejszych dowodów, ale też z drugiej strony nic, coby temu zaprzeczyć mogło. O naszym poecie, który tu mieszkał, o półwiekowej rocznicy śmierci jego, staruszka, jak gdyby nic zgoła nie wie; co do rocznicy — zna oczywiście jedną tylko, nad wyraz żałosną: 1812 rok. Mimo to nie możemy jej za złe brać tej nieświadomości, nie razi też nas w tem otoczeniu. Żeby tu z nami był nasz serdeczny lirnik wioskowy, z jakim niezrównanym humorem opisałby ten wymierający już obecnie typ.

Borejkowszczyznę i życie tutejsze „mademoisselle“ charakteryzuje nader trafnie, w dwóch słowach, łamaną polszczyzną: c i s z a, c i s z a, c i s z a... m o ż n a w a r j u j e! Tak jest dziś, tak było niewątpliwie za pobytu Syrokomli. W tej to właśnie świętej ciszy wsi litewskiej czułe ucho poety łowiło te serdeczne tony, z których utkane „gawędy“ wioskowego lirnika o „Starych wrotach“, o „Janku cmentarniku“, o „Kęsie chleba“, o „Spowiedzi pana Korsaka“ i o „Filipie z konopi“.

Wychodzimy na ganek: nieduży dziedziniec okolony topolami aromatycznemi, płaczącemi brzozami, jakie u nas na Litwie tylko widzieć można. W rogu tego dziedzińca, po prawej stronie, w gąszczu bzów i jaśminów, pod cieniem wysmukłych topoli stał niegdyś stół z kamienia młyńskiego, tu w dni pogodne przeważnie przesiadywał poeta, tu powstały najpiękniejsze jego „gawędy“, tu w rzewnym nastroju spoglądając raz na swój ubogi dworek, który przecie nie był jego własnością, skąd każdej chwili właściciel mógł wyrzucić niewypłacalnego dzierżawcę, zanucił tę piękną zwrotkę:

„Nie mój to domek, nie moja gleba,
Choć chleb mi rodzi przez lato;
Moim jest tylko ten błękit nieba,



BOREJKOWSZCZYZNA
O ŚWICIE.

Rysował F. Ruszczyc. *Ramka według angielskiego sztychu.*

Co się unosi nad chatą.
Pod skrzydłem chmury, pod cieniem strzechy
Miałem i ciernie i róże;
Prędkoż me bóle, moje pociechy
Ojcu ziemskiemu wynurzę?

Dziś zamiast kamienia młyńskiego ustawiono kosztem grona wielbicieli stół „pamiątkowy" z granitu z wyrzeźbioną na powierzchni lirą i wieńcem dębowym, z napisem w koło:

„Tu w Borejkowszczyźnie od r. 1853 do 1861 mieszkał Władysław Syrokomla, w tem miejscu przy stole kamiennym tworzył swe wiekopomne dzieła". A po drugiej stronie czytamy:

„Wiosce chluba urasta: Młodzian, dziewczę, niewiasta
Przed ludzmi cudzej ziemi
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi..."

Chlubna niewątpliwie była intencja uczczenia w ten bodaj sposób pamięci poety, jakkolwiek wyznać muszę, że ta bryła z czarnego granitu, na nieproporcjonalnej jednej nodze, naśladując niby stół kwadratowy, niby... nagrobek, ze złoconym napisem i lirą, tak wcale nie harmonizuje z otoczeniem sielskiem, i żal nam owego kamienia młyńskiego... gdzieby się teraz znajdował — nie mogłem się dowiedzieć.

Borejkowszczyzna — jak to wyżej wspomniałem — i jak to powszechnie wiadomo, nie była własnością Syrokomli. Jest to folwark, należący do Niemieży, własność Tyszkiewiczów. Po śmierci Syrokomli zmieniła kilku dzierżawców, obecnie zaś i to od 4 już lat, jest w dzierżawie p. Narkiewicza, człowieka ze wszech miar czcigodnego, znanego zarówno z miłości jaką otacza nieliczne pamiątki po „Lirniku wioskowym", jako też z prawdziwie staropolskiej gościnności względem licznych wycieczkowiczów, zwiedzających to ciche ustronie. Przyjęcie, jakiego doznaliśmy pod skromną strzechą tyszkiewiczowskiego dzierżawcy, było bez porównania obfitsze i serdeczniejsze, niż w niejednym pałacu hrabiowskim.

Dodać wypada, że Borejkowszczyzna jest to bardzo nieduży folwarczyk, obejmuje dziś bowiem jakie pięć włók lichego, piaszczystego gruntu, za czasów Syrokomli gorzej jeszcze było, gdyż cały obszar wynosił zaledwie 2 i pół włoki, do tego było aż 4 chłopów.

Jak tam poeta wypłacał tenutę dzierżawną, o tem wiedzą chyba szczury, zaglądające czasem do starych regestrów tyszkiewiczowskiego archiwum. W każdym razie była to licentia poetica, gdy Lirnik nasz śpiewał:

„Tutaj dni moje spokojnie płyną,
Mam chleba, soli, kwiatów do syta,
I dobry człowiek czasem gościną
Do mnie zawita".

Kwiatów — zgoda. Gości — ba! na tych był zawsze urodzaj świetny; kogoż bo nie widziały te skromne ściany wiejskiej sadyby? Bywali tu stałymi gośćmi: Odyniec i Pług, Eustachy Tyszkiewicz (zasłużony archeolog), Mikołaj Malinowski, Stanisław Moniuszko, Teodor Tryplin, Horajn, Chodźko, któż wszystkich zliczy i kto — obcy — uwierzy, że tu, ot, u oszmiańskiego traktu, pod słomianą strzechą lichego folwarku, biło swego czasu najżywsze tętno naszego życia umysłowego i artystycznego!

Co do „chleba", wątpię, że go było „do syta" na dwuwłokowej nędznej dzierżawce, co zresztą sam poeta przyznaje:

„Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,
I rozkażę strumykom brzęczeć z całej siły,
I rozkażę słowikom, by pięknie nuciły,
Zaś by ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,
Nie dam ci na dzierżawie ni ziarna, ni słomy..."

Wobec takiego stanu gospodarki poeta postanowił przeprowadzić „gruntowną reformę" i — uznając widocznie własną swą w rzeczach praktycznych nieudolność — sprowadził na dwuwłókowy folwarczyk rządcę. Kim był ten „specjalista agronom", który miał podnieść chylącą się ku upadkowi gospodarkę, wypełnić spichrze dorodnem ziarnem, a kieszeń swego pryncypała grzeszną mamoną?

Tu cofnąć się musimy o lat kilkanaście. Rodzice poety dzierżawili w swoim czasie również folwark, Załucze, dzierżawę tę przelali na syna po jego zbyt wczesnym może ożenku. Pani Paulina (żona poety) złote serce, lubiła przygarniać dziatwę wioskową, przychodzącą do dworu na pracę, często dodawała do ubogiego śniadania, które zwykle składało się z kawałka chleba razowego — nieco okrasy, plasterek sera lub owoc. W tym czasie pasał gęsi dworskie

chłopak-sierota imieniem Wincuk (Wincuś), którego ze względu na drobny wzrost nazywano żartobliwie z białoruska „korotki“ (krótki, mały); czyli: Wincuk Korotki. Razu pewnego pani Paulina chcąc nieznacznie włożyć do torebki chłopczyny jakiś kąsek łakomy, spostrzegła tam zamiast chleba — elementarz. Wieczorem opowiada wszystko mężowi, aż tu jak się zerwie pan Ludwik: „Na miły Bóg! a dawajcież mi tu zaraz tego chłopaka! Gęsi rozpędzić na cztery strony świata“. Rozkaz został spełniony w części tylko, gęsi nie rozpędzono, natomiast chłopca wziął poeta pod swą bezpośrednią opiekę, wykształcił go, jak się mówi: wykierował na ludzi. „Mały Wincuś“ czyli „Wincuk Korotki“ pod nazwą Wincentego Korotyńskiego zajął poczesne miejsce w literaturze naszej jako autor „Czem chata bogata“, „Wypił Kuba do Jakóba“, „To miło“, oraz wielu prac publicystycznych, wierszy ulotnych (po części w narzeczu białoruskiem). Praca literacka u nas naogół niezbyt popłaca, na owe czasy szczególnie, to też Korotyński, jakkolwiek wtedy już ceniony, przecie bynajmniej nie stąpał po różach. Dowiedział się o ciężkiem położeniu materjalnem swego pupila Syrokomla i — jako „bogaty“ dzierżawca dwuwłokowego folwarku — postanowił dopomódz przyjacielowi, wzywając jego to, nikogo innego, do wspólnej pracy na roli. Nowy pan „rządca“ zainstalował się w malutkiej oficynie, która do dziś dnia przetrwała bez zmian, w cieniu wspaniałego klonu. Natychmiast też wspólnie ze swym „pryncypałem“ wziął się do owych „meljoracyj“, a praca szła im tak dobrze, że za parę miesięcy już zebrano całą kopę... wybornych przekładów z Berangera. W stodole i spichrzu owej jesieni podobno większe jeszcze były pustki, niż innych lat.

Lecz czas już pożegnać te wszystkie wspomnienia, które tu przemawiają tak żywym głosem, jak gdyby to wszystko wczoraj się zdarzyło, dziś jeszcze trwało, jak gdyby od owych czasów nie minęło już pół wieku przeszło. Czas przedewszystkiem pożegnać uprzejmego gospodarza, któremu, jakkolwiek nie daje tego poznać, taki najazd przy dniu roboczym chyba nie jest na rękę. Raz jeszcze okiem obejmujemy to wszystko, co w ciągu krótkiego popasu tak do serca przylgnęło, jak gdybyśmy tu lata spędzili: a więc dworek pochyły, ganek w powojach wina dzikiego, brzozy płaczące, wysmukłe topole, sadek i gąszcz wiśniowy, pasiekę, gdzie złote brzęczą pszczółki, parów zielony i prastare dęby . . . .

. . . .

Tak oto przedstawia się Borejkowszczyzna dziś; jakże tu wyglądało przed pół wiekiem? Opowiedział to nam sam „Lirnik“ w jednym ze swych „Przeglądów miejscowych“, drukowanych w ówczesnym „Kurjerze Wileńskim“.

Posłuchajmyż:

„Na ten raz „łaskawi czytelnicy“, nasz przegląd miejscowy odbędziemy na miejscu, w ścisłem znaczeniu wyrazu, bo niewychodząc ze szczupłego domku, którego od lat dziewięciu jestem gospodarzem, a skąd od kilku miesięcy tak często wam się uprzykrzam na kolumnach „Kurjera“. Obejrzawszy Rudomiński kościołek, przez historyczne błonia, przez kamieniste pola udamy się naprawo, a minąwszy parę dwórków, parę wioszczyn, zapraszam was, abyście po tej milowej przejażdżce, choć myślą wypoczęli w mojej teraźniejszej siedzibie, folwarku Borejkowszczyźnie:

Czem was przyjąć goście mili
Wzamian soli chleba?
Goście duchem tu przybyli
Duchem przyjąć ich trzeba.
Wprawdzie wszystek nie skupiony,
Do tej chatki poziomu;
Cząsteczkami w różne strony
Rozesłałem go z domu.
Często szukam, nie znachodzę,
I sam jeden być muszę;
Po ciernistej życia drodze
Rozproszyłem mą duszę.
Wszędzie serca część oddartą
Mnie zostawić sądzono;
Coś nad Niemnem, coś nad Wartą,
Coś nad Wisłą spienioną.
Reszta poszła w różny sposób,
Aż się spłacze, przeboli.
Na mogiłach drogich osób
Albo własnej mej doli.
Jeden tylko duch skrzydlaty
Został w sieni u wchodu
Opiekuńczy duch tej chaty
Gościnności narodu.
Więc i z niego bądźcie radzi
On tu pełni swą strażę;
On me serce pokaże.

Mieścina ta, jak się z samej nazwy okazuje, należeć musiała przed wieki do rodziny Borejków. Niesiecki, opierając się na świadectwie dawnych broszur, twierdzi, że przodek tego znakomitego dziś domu, uratował życie Witenesowi, — Karamzin, na osnowie jakiegoś ruskiego latopisca, Borejkę mieści w liczbie tych, co z Gedyminem w te strony przybyli. Bardzo więc być może, że Gedymin zakładał Wilno, Borejko tu o dwie mile się usadowił, ale, że tu nie było poddanych, coby mu karczowali lasy, lub może niechcąc mieć zatargów z sąsiednim karczmarzem, zwinął chorągiew i uciekł ze swej stolicy. Później ta posiadłostka należała do rodziny Żółkowskich, ostatecznie zaś przeszła do dziedzictwa hr. Tyszkiewiczów, którzy tu na przyległych folwarkowi wzgórzach, osadzili trzy chaty włościańskie.

Domek nie wielki, ale schludny, widok z okna daleki na wioski, lasy zamglone i malownicze wzgórza; obszerny sad owocowy, lud pracowity, trzeźwy i uczciwy, na ścianach kilkanaście dobrych obrazów, w szafach kilkaset dobrych książek.

Czegoż tu więcej potrzeba?
Doli i chleba!

Pierwszej mi od urodzenia nie dano, o drugi trudno; bo ziemia lubo dosyć urodzajna, jest tu w niezmiernie szczupłym obszarze, a mała liczba rąk i niezmierna trudność o robotnika, nie pozwalają rozwinąć gospodarki na obszerniejszą stopę.

Ale wnijdźmy do nizkich komnat i odbędźmy tu fantastyczną około nich podróż. (Voyage autour de ma chambre). Wspomniałem o kilkunastu obrazach, dla nich to ośmieliłem się utrudzać czytelników pod moją strzechą. Wyższy wzgląd, niż zwyczajna próżność spowodowała mię do opisania tutaj mojego zbiorku: chce mi się dać przykład posiadaczom większych i mniejszych zbiorów, aby w pismach publicznych uczynili to samo. Z pewnego kompletu takich katalogów moglibyśmy wiedzieć, co posiadamy na naszej ziemi z dobrych utworów penzla? Publiczne ogłaszanie takich zbiorów, wyradzając szlachetne współzawodnictwo, wykształcić może smak i na potrzeby ducha obrócić grosz, który się nieraz rozrzuca na karty, wino, myśliwstwo i inne wydatki niegodne człowieka i obywatela. Kto posiada dzieło sztuki posiada rzecz publiczną, rozgłos o niej jest naszym obowiązkiem.

(Tu następuje szczegółowy katalog obrazów stanowiących zbiorek poety, zdobiących skromne ściany dworku w Borejkowszczyźnie. Każdy obraz opisany szczegółowo, do każdego nazwiska dodana charakterystyka artysty. Ponieważ dla szczupłości miejsca nie możemy w całości przedrukować tego artykułu i w danym razie chodzi nam raczej o to, jak przed pół wiekiem wyglądała wiejska siedziba naszego poety, nie zaś o daty biograficzne, które w każdej encyklopedji odnaleźć możemy, ograniczamy się wyliczeniem samych obrazów).

Andrioli Elwiro: Chłopak uliczny z torbą przez plecy, pod drzewem. Studjum olejne.

Bezimienny artysta: Portret olejny J. U. Niemcewicza.

Chotomski (Dienheim) Ferdynand: Widok z natury południowej Francji; akwarela.

Dmochowski Wincenty:

Krajobraz nocny: las, rzeka, w której odbija się księżyc.

Krajobraz nocny, scena z Margiera (pieśń V). Krzyżacy w wigilję bitwy obozują w lesie. Daleko i szeroko rozbite namioty; rozrzucone ogniska biją krwawem światłem na rozochate dębów konary. Tłumy krzyżaków (figurynek sporych więcej 50-ciu) grupują się bardzo szczęśliwie i malowniczo; oprócz kilku postaci, na pierwszym planie, w środku obrazu, zanadto jednostajnych, ówdzie pod namiotem mnich słucha spowiedzi rycerstwa, ówdzie inny rozdaje mu komunję; ówdzie wozy, działa i konie, tam porozrzucane siodła i wojenny rynsztunek. Na Niemnie srebrzy się odbite światło księżyca, za Niemnem, na dalekim planie widnieje zamek Punie.

Zaścianek litewski. Pełna życia i prawdy okolica szlachecka; chata, ogród warzywny z rozkwitłemi makami, oborka, stodoła, spichrz, słowem całe wnętrze dziedzińcowego gospodarstwa niezamożnej szlacheckiej zagrody, rzekłbyś kartka Pana Tadeusza, napisana pędzlem. Nalewo strumyk i sosna, pełna rodzinnej fizjonomji. Zachodzące słońce rozlewa serdeczne ciepło po całym obrazie. Nie wahamy się tego krajobrazu zaliczyć do najcelniejszych prac Dmochowskiego.

Krajobraz z natury. Przy różowem świetle zachodzącego słońca wije się kręta rzeczułka, zarosła łozową krzewiną; most stromy, poszarpany, na połamanych i pokrzywionych palach, jakby jaki potworny stonóg, biegący przez wodę. Ile prawdy w każdym szczególe tego mostu. Lipa i malownicza jodła bogacą przód obrazu, w którego głębi widnieje klasztor nad wodą.

Ruiny dawnej katedry greckiej fundowanej przez Witolda

r. 1415 w Nowogródku, potem cerkwi pobazyljańskiej. Akwarela z natury.

Dmochowski Władysław (syn poprzedzającego): Widok litewski — las naprawo, nalewo karczemka Litewska, środkiem po drodze, dziarska czwórka koni, kłusuje w zaprzęgu netyczanki, w której siedzą podróżni. Akwarela.

Gerson Wojciech. Zygmunt August, otoczony dwoma włoskiemi lutnistami, litewskim teorbanistą i Mikołajem Radziwiłłem.

Gzowska Anna z Łopatów: Widok olejny z natury kościoła św. Rafała na przedmieściu Śnipiszkach w Wilnie.

Jagielski Ludwik w Poznaniu: Głowa starca, studjum olejne z natury.

Kolas czy Kołas Hrubieszowianin: Scena z Pana Tadeusza; stary Maciej Dobrzyński, w białym kubraku siedząc na przyzbie pod chatą karmi króliki.

Kostrzewski Franciszek. Głośny ten dzisiaj a pracowity malarz i rysownik udarował mię olejnym szkicem sędziwego kmiotka z Lubelskiego, w czarnej sukmanie, siedzącego pod rozłożystym dębem.

Kraszewski J. I.: Ruiny starożytnej łaźni, gdzieś z okolic Odessy, szkic olejny.

Widok dworku Hubina pod Łuckiem, gdzie go odwiedzałem w 1894 r. Akwarela z natury *).

Album rysowane ołówkiem, złożone z 19 kart, są to widoki Wołynia i Podola.

Leser Aleksander (w Warszawie): Scena z poematu „Córa Piastów“, starannie ołówkiem wykończona. Artysta wybrał chwilę, kiedy w zamku książąt Mazowieckich Litwini wybijają drzwi, za któremi jawi się odważna dziewica.

Łopatyński Faustyn, artysta-amator: Widok wiejskiego podwórka.

Majeranowski Władysław (Krakowianin): Fotograficzną kopję z obrazu Majeranowskiego: Zgon Margiera, malowanego dla hr. Rajnolda Tyzenhauza **).

---

*) Reprodukcję tego obrazu zamieściliśmy w poprzednim zeszycie „Litwy i Rusi“. — Oryginał jest dotychczas w posiadaniu syna poety p. Wł. Kondratowicza. *(Przyp Red.)*

**) Oryginał tego obrazu dziś w posiadaniu Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. *Przyp. Red.*

Ołówkowy śliczny i spory szkic do naszej gawędy „Kapral Terefere“.

Moraczyński Jan: Szkic w popiersiu modlącej się kobiety.

Pilatti H.: Zaledwo malutką próbę nabytą w Warszawie u ramiarza pochwalić się możemy. Jest to mały szkic, treścią jego jest legenda o herbie Złotogoleńczyk, kiedy hetman razem ze swym giermkiem pojmani od Tatarów i przykuci do siebie za nogi, czekają wyroku śmierci.

Skrzycki Benedykt: Jedenaście portretów królów polskich.

Obraz z pamiętników Paska; Msza w lesie. Kopja zwiększona ze znanej ryciny Antoniego Zalewskiego.

Szemesz Adam: Portret.

Śledziński (ojciec): Żebrak z długą brodą, przy nim dziecię.

Śledziński (syn). Wnętrze karczmy litewskiej.

Szermentowski: Widok oberży. Na pierwszym planie mostek i urwisko góry, dalej karczma, z pełną ruchu gromadą ludu na drodze, w głębi kupka drzew, rzeka, a za nią mgli się miasteczko.

Wojtkiewicz: Sejm tak zw. inkwizycyjny za Zygmunta III. Sędziwy Zamojski snadź cierpko coś przymówił królowi, który się gwałtownie porywa do pałasza. Na drugim planie siedzą poważni senatorowie, prymas Karnkowski, Paweł Działyński, Sapieha.

Chrzanowska. Dowódca zamku Trębowli, Chrzanowski, w gronie szlachty ma już podpisać kartę poddającą zamek Muzułmanom, kiedy wpada jego żona, grożąc sztyletem jemu i sobie, jeśli to dopełni.

Zaleski Antoni narysował mi scenę z Dęboroga, kiedy stary rotmistrz śmiertelnie raniony na wojnie dyktuje swój testament, otoczony gronem rycerstwa.

Zienkiewicz Jan: Pielgrzymi w Watykanie, kopja z obrazu Tadeusza Goreckiego. Dom Fornariny, kochanki Rafaela, zdjęty w 1858 r. z natury w Rzymie.

Tak przenosząc oczy z obrazu na obraz chlubny z posiadania prac tylu utalentowanych ziomków, w chwilę wytchnienia, albo w chwilę boleści, przychodzę tutaj odświeżyć się, lub znaleźć ulgę; nic bowiem silniej ducha nie orzeźwia, jak dobroczynny wpływ natchnionych dzieł sztuki, wpływ poezji, muzyki i malarstwa.“

J. O.



> „Z piersi ojców i na ich kurhanie
> „Rośnie kłos żytni i konar dębowy“.

Kiedy Władysław Syrokomla skarżąc się rzewnie, lecz powściągliwie, nawet z humorem — inaczej mógłże się skarżyć ten, co wolał, by mu się raczej serce „rozpadło“, byle „cierpieć dostojnie“ — snuje życzenia nabycia „czterech włok ziemi“, ze strzechą, co go osłoni „od skwarów lata i wiatrów zimy“, pod którą mógłby „płakać swobodnie“, marzeniem pieśniarza świadomego doniosłości swego głosu wybiega dalej, pragnie:

„Z lasem na własność kupić sobie echo“.

Gruntu pod stopy, co tak mało miejsca zająć chciały na ziemi, nie nabył. Strópem pozostał mu „błękit nieba“, pod który wzbijały go poezji skrzydła, skąd patrzył na wszystko z wysoka, pod pewnym tylko rzetelnym poetom znanym kątem, nie tracąc jednak z okna najdrobniejszych pyłów rodowitej swej ziemi. Własną strzechą miało mu zostać sklepienie przedwczesnej na Rosie mogiły,

kres prostej i ciernistej, za wązkiej dla rozmachu piersi pieśniarza, ścieżki jego żywota.

Dopiero na „własność“ kupił sobie Echo, niemilknące, jak Litwa z Rusią długie i szerokie. Przetrwa ono nietylko—wedle zawsze skromnych życzeń poety — „chwilkę, dzień śmierci i pogrzebu“, lecz jak te kręgi, co się rysują na poruszanych cichych a głębokich wodach, tak i śpiew naszego Lirnika, co „skonał grając na lirze“, rozbiegać się będzie coraz szerszem echem w sercach i pamięci jego współziomków.

Echo to Syrokomla opłacił po królewsku: czerwieńcem miłości z pod serca, co w wielkiej ojcowiźnie przylgnęło ze szczególną tkliwością do szmatu macierzystej ziemi, oblanej Niemnem, Wilją, Horyniem, szczerem złotem obywatelskich przekonań i dźwięcznością strun rozpiętych na lirze „z czarodziejskiego drewna“, spojonych „świętym węzłem z rodzimą przyrodą, przeszłością i duszą współbraci.“

Podobne „święte“ węzły, zadzierżgnąć ino potrafi grajek pieśń wydzwaniający w „takt serc gromady“. Nie jednej składowej jej części, chociażby ta rdzenna była lub też przodownicza, lecz całej, niepodzielnej, niezróżniczkowanej gromady.

Taką pieśń wydzwaniający pieśniarz, musi być kością kości, rodowitym i uprawnionym dziedzicem ojcowizny, w najszerszem znaczeniu: nie samem etnograficznem i nie samem historyczno kulturalnem; lecz w ich zespole. Kultura sama pieśni nie stworzy; unosząc w zbytnie oderwania nie przemówi do przeciętnych słuchaczy; etnograficzne znów odrębności same w sobie, rodzimej piosenki w pieśń nie uskrzydlą i nie oderwą od miedzy.

Syrokomla mówi gdzieś:

„W piosnkę jak w rzekę nim szumieć zacznie,
Tysiące źródeł wpływa nieznacznie.“

Źródła te mają naturę najrozmaitszą i nie w równomierny sposób pieśń zasilają. Rozdzielićby je można na źródła wód żywych i napływowe; na sączące się z podziemnych szczelin, i z wód zaskórnych, z nawalnic burzliwych i deszczy słotnych. Powstają z dopływów zawsze tajemniczych rasy i z właściwej tejże rasie kultury; z przyrody czy to rodzimej, najbliższej,

czy nawet zupełnie obcej, co, przy pewnym zbiegu okoliczności, najsilniej uderzy wyobraźnię pieśniarza; zależą od natury i skali wyrobienia jego umysłu i serca, oraz czutkości sumienia, to jest: poczucia i stosowania zasad społecznych, narodowych i etycznych; wreszcie od indywidualnych jego właściwości i życiowych danych.

Źródeł zasilających rozlewną rzekę pieśni Syrokomli w pobieżnym szkicu dochodzić nie możemy, poprzestając na zaznaczeniu głównych tych, których każdy z nas, najbliższych mu ziomków, czuje żywe i nieustanne pulsowanie we własnej piersi i winien w miarę sił swych i naznaczonego mu przez los zakresu, przelać w swe życie. Tylko nie każdy posiada dar wypowiedzenia się czynem lub rozgłośnem słowem. Nie mogąc tu wnikać w całokształt spuścizny po Syrokomli, musimy poprzestać na źródłach tych wód żywych, z których czerpał najlepsze swe natchnienia, te, co je nam czynią tak bliskiemi i miłemi; u mogiły najserdeczniejszego z naszych pieśniarzy, porosłej półwiekową już darnią, splecionej nie przestającem krwawić się cierniem, zarazem nad nią, jak nad źródłami tych wód żywych, kłoniąc czoła i kolana, uczuć co w nich jest nieśmiertelnem!

Nie wspaniałość — mieliśmy większych i głośniejszych pieśniarzy! tych, których Syrokomla dla swej ziemi pragnie i w skromności swej nazwy „Prorokami“ i „Wielkiemi“.

Nie techniczna doskonałość, bogactwo rymu i rytmu. Wyprzedzają go w tem, dzisiejsi, nawet o wiele mniej odeń w uczuciu rzetelni poeci. — Cóż tedy?

Swojskość głęboka; postępowość szeroka a rozumna; liryzm.

Syrokomla opiewa wyłącznie Litwę. Wierny historji i poprzez pięć wieków utartej nomenklaturze, z którąśmy się zrośli, nazwą tą i Ruś obejmuje.

Śpiewa po polsku. Wierny narodowej kulturze, posługując się mową ojczystą, znajduje w niej bogate, od wieków wielu wyrobione, do potrzeb jego ducha doskonale dopasowane narzędzie. Nie przeszkadza mu to bynajmniej zostać śpiewakiem, wyłącznym śpiewakiem Litwy, gdyż nikt wierniej od niego nie wniknął w treść jej i przez wiekową kulturę wyrobione odrębności. Tkaninę tę tęczową rozskubać na marne etnograficzne strzępy, pod pretekstem wydzielenia rdzennego włókna, mogą chcieć chyba niedostatecznie świa-

domi jej wartości lub ci, którym idzie o zatratę bogatego, w swym rodzaju jedynego historycznego wzoru.

Syrokomla Litwę bierze jaką jest: w dobrej i złej doli, odświętną i powszednią, rycerską, szlachecką i gminną; zawsze ze stygmatem Bożej wiary na łonie; w przeszłości jej, teraźniejszości, przyszłości; z jej kurhanami, siołami; niwą i borem, krzyżami i kościołami, magnacką twierdzą, szlacheckim dworem i dworkiem, wieśniaczą chatą. W takiej czerpie wątek wszystkich swych opowieści: od Dęborogów i Margierów do butnych wąsali i Janków Cmentarników. Miły mu animusz rycerski, miłe proporce i herbowe znaki — wszak swoim rodowym podpisuje się i takowy wsławia, szczery skąd inąd demokrata: Ludwik Kondratowicz? — ale karci szlacheckie narowy, szczególną miłością płonie dla uciemiężonego społecznie i ekonomicznie ludu i dla tej szaraczkowej gromady, w której tkwi moc tak wielka.

Litwę bierze w jej całokształcie: z Mendogiem, Krywe Krywejtą, Wajdelotami, ale i ze Skargą, Mickiewiczem, Słowackim, Bohdanem Zaleskim. Z rycerskim Jagiellonów pocztem, ale i z tą ciżbą bezimienną, co świeci nad krwią ofiarną, i zorzą północną oblanemi szlaki...

Taką, jeśliby się jej mógł kiedy przeniewierzyć, szedłby, wraz z bohaterem swego arcydzieła: Jankiem Cmentarnikiem, przepraszać „odarty i bosy". Chory, lekówby szukał w „szklance wody z Niemna lub Horynia". Do takiej tęskni niezbytą tęsknotą, z którą tej ziemi dzieci „już i do trumny kładą". Taką kocha

„ogniście, wieczyście!"

Dla Ignacego Chodźki żywi afekt, jaki tylko łączyć może pokrewne z sobą duchy. Rozpytuje sąsiadów o Dziewietnię i jej pana: a „czy zdrów zacny gospodarz?" a czy jest w „swojej chacie?" a „jaki obraz litewski na jego warsztacie?"

W tem rzecz: jaki obraz litewski? Syrokomli, „litwinowi", jak to sam sobie najwyraźniej przyświadcza w uczuciu i rozciągłości, jakie temu mianu nadawał Mickiewicz, gdy wołał: „Litwo ojczyzno moja!", jak to rozumiemy tej ziemi dzieci kochające, których żadne etnograficzne względy nie oduczą mianować się „litwinami", pana z Dziewietni kocha za pędzel „uroczy", którym przemawia do jego najgłębszych zamiłowań, za to, że mu jego matkę-karmicielkę, kochankę, Litwę maluje, jak się dotąd nikt nigdy nie pokwapił. Pewien jest — i ma w tem wielką rację, — że na całej litewskiej przestrzeni

nie znajdzie się taki, coby Chodźkę nie „uwielbiał"... więcej! coby nie „miłował... Czarodzieja", posiadającego ów „Kruczek"' bajeczny: z kosteczki nietoperza i piórka z grzywy Pegaza ulepiony, co „Litwę z Polską za serce zahacza". Czarodziej ten nie tylko z jego sercem czyni czary, lecz wraz z nim zajmując tak zaszczytne miejsce w piśmiennictwie polskiem, obaj czarują nas, litewskich przestworzy mieszkańców tym „kruczkiem" przedziwnym, tą swojskością, co nie jest ani pospolitym, zwykle ciasnym partykularzem, ani specjalnym, a tak dziś w piśmiennictwach romańskich rozpowszechnionym—prowincjonalizmem, ani lokalnym kolorytem samym, lecz jedną nutą więcej... Mniejsza z tem: wyższą czy niższą, głębszą, czy lotniejszą... czy też może poprostu bardziej tylko łzawą, w zespole narodowego chórału.

Ale ta swojskość znamienna, a tak nam bardzo miła, nie posiadałaby doniosłości ponad moc żywiołową, z którą występuje w dziele Chodźki, jeśliby Syrokomla, rozmiłowany w jednej historycznej dobie, blaskami przeszłości dał się na przyszłość oślepić. Jeśliby się nie przejął ożywczemi prądy, bez których niema jutra.

Przeszłość dlań jest „Świętą" i „Mistrzynią", ale nie „dla zgorszenia, ale dla poprawy". W ojczystym dziedzictwie wiele rzeczy naprawy wymaga. Syrokomla wie zapewne, co naprawom tym na przeszkodzie stanęło i staje; co je opóźnia lub i całkowicie udaremnia. Tem żywiej powstaje przeciw: niezaradności, złej woli, wstecznictwu, temu wszystkiemu, co do zapór nie dających się przezwyciężyć dorzuca nowe i tem bardziej grzeszne. Karci to ostro, tak ostro, że śród pewnego oddziału swych ziomków zasługuje sobie na miano: demagoga.

Cóż znowu? wołamy, obejmując dziś całość dzieła śpiewaka Litwy. Widzimy w nim demokrata z serca i przekonań i tem go lepiej rozumiemy. Nikt radośniej od niego nie witał usamowolnienia włościan na Litwie. Chociaż Syrokomla rozumiał i zakreślił wyraźnie różnice, jakie zachodzą pomiędzy niewolnikiem, co „na twarz pada przed lada grymasem swego pana", a poddanym i sługą, zdolnym zrozumieć, co tegoż pana „boli"; chociaż nazbyt dobrze znał wewnętrzną historję Polski w przeddzień jej upadku i kronikę Litwy a Wilna ze schyłku pierwszego trzydziestolecia XIX

wieku, by o to opóźnienie pomawiać szlachtę, wita nową erę z zapałem:

„Idź stara nędzo na suche lasy!
Idź na dno piekieł stara niewolo!“

Oddycha swobodniej. Z serca mu spadł wiekowy ciężar i zdaje mu się, że z chwilą, gdy się wiekowej sprawiedliwości stało zadość... „Wiosna już! że wiosna już!“ Na razie nie zabłąkało się jeszcze na rozchylone powitalnym hymnem wargi, zwątpień gorzkie słowo. Na zasłuchanych w powiewy wiosny, ptasząt świergoty, na upojonych kwietną wonią nie woła: „Łatwowiernicy“, złowieszczym nie straszy ich jeszcze głosem. Cieszy się, jak się nikt może na szerokiej Litwie nie cieszył, bo demokratą jest szczerym w najlepszem tego słowa znaczeniu, nie w tem co zniża i pod jedną pospolitą miarę łby przycina, lecz w tem, co wzwyż dźwiga.

Nie, nie jest siewcą nienawiści. Młodszej braci przypomina, że „dziady szlacheckie“ z ich praojcy przeżyli „wieki doli i niedoli“, a nic tak węzła łączność nie zacieśnia, jak „wspólne cierpienie“.

Starszą brać zachęca: „będziecie potrzebni nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową“; młodszą zagania do szkoły, jako do źródła dobrobytu i istotnego wyzwolenia, szkołę rozumiejąc w jej istotnem znaczeniu oświaty.

Miłuje wolność, nie tę „w karby nie ujętą, córkę zniszczenia, co nad strzechą ojców postrachy sieje“, a pod hasłem wyzwolenia chce „narzucić niewolnicze pęta!“ Na tę, kłamliwą, woła z niezwykłą sobie siłą: „Nie wolno!“

Ale ani postępowość Syrokomli, ani nawet jego swojskość, jego, jak się sam wyraża: „pamięć na ziarno żywota“ nie pozostawiłyby echa, jeśliby się nie był urodził poetą z Bożej łaski. Śpiewa w nim nietylko: „lud Boży“, lecz i „duch Boży“, to jest natchnienie i ono echo po sobie zostawia.

Nutą najściślej do natury jego natchnienia dostrojoną, jest nuta liryczna. Na innych drogach poetyckiej twórczości, próbóje sił swych z pewnem powodzeniem, wnosi pewne pisarskie zalety, lecz dopiero w gawędach i tam, gdzie liryka przeważa, jest całkowicie sobą.

Sam to czuje. Nie ma siebie za „proroka“, ani za „wielkiego poetę“, ale zeznaje, że ze wszystkich darów Bożych ten największy i bodaj najsroższem cierpieniem opłacić warto. Poprzestaje na sta-

nowisku „grajka“, co pieśni nie „poda k'ohydzie“. Posiadł lirę „z czarodziejskiego drzewa“ i nią się szczyci. Jest mu ona nietylko „wypieszczonem“ piersi dzieckiem, „ulgą“ w cierpieniu, „skarbem“ całym, ale i „chlubą, wieńcem, promieniem“ jego głowy. Nadewszystko wie, gdyż to w sobie czuje, że lira, to „śpiewna“.

Śpiewną jest, bo nietylko grają na niej wszystkie, aż do najniepochwytniejszych dźwięki swojskości, wtórują im zdrowe, świeże tchnienia rodzimej przyrody, lecz i tętnią po niej, żywego serca biciem zaklęte, wszystkie uczucia i tęsknoty ludzkie; w całej gamie duszy ludzkiej rozbrzmiałe, w harmonijny zwarte akord... słowem to, co liryki wiekuistą jest treścią.

Tu, opałowe poezji blaski grają zarówno w szlifie brylantów, jak w kroplach rosy uperlających kwiecie polne i źdźbła trawy. Słońcem ożywczem, wywołującem te blaski, ogień wewnętrzny i iskra z nieba: szczerość, czystość, głąb uczucia, rzewność i śpiewność, chociażby nie wyszukanego wyrazu.

Ten liryzm rzetelny co za serce chwyta, bo z serca płynie, jest najwybitniejszą z zalet poetyckich Syrokomli, przednim plonem w jego literackiej spuściźnie.

W artystycznem znaczeniu Syrokomla zajmuje w piśmiennictwie naszem miejsce, jakie w malarstwie zajęły utwory kwatroczentystów do dzieł odrodzenia. Niedostatki techniki nagradzają sowicie szczerością wyrazu, prostotą układu, przezroczystością i świeżością barwy.

Zastanawiając się nad zasadniczym tonem liry śpiewka Litwy, nie podobna zapomnieć wzniesionego przezeń, w Poznaniu, toastu:

„Nie ma Litwy bez Polski, ni Polski bez Litwy!“

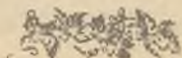
To go nam streszcza, zlewając to wszystko nie w jednolitą wprawdzie, lecz zupełnie harmonijną całość, w wielkiem zjednoczeniu zobopólnej miłości, wszelakie pretensje do domniemanego priorytetu.

Wila Zyndram Kościałkowska.



POEZJA LUDOWA W UTWORACH SYROKOMLI.

Poezja ludowa jest bogatą skarbnicą, z której czerpali i czerpią pełnymi garśćmi literaci i artyści wszystkich czasów. Zmieniają się tylko sposoby: dziś starają się poezję ludową przenieść na papier w formie jaknajbardziej do oryginału zbliżonej, zachowując nawet właściwości danego djalektu; dla etnografa ma to niewątpliwie wielką wartość, gorzej jednak wychodzi na tem — sztuka. Dawniej poeci uważali utwory ludowe za materjał surowy, wymagający gruntownego opracowania, niby djament, który oprócz kosztownej oprawy wymaga starannego oszlifowania, aby rozbłysnął. Dla polskiej literatury ogromne znaczenie miała poezja ludu białoruskiego, czerpał z niej niejednokrotnie tematy do swych balad Mickiewicz, znał ją przewybornie Syrokomla, który w opracowaniu takich ludowych drobiazgów był mistrzem niezrównanym. Sposób jego na tem polegał, że trzymając się, ile można, ściślej oryginału, zachowując nastrój piosnki gminnej, potrafił jej lekkiem dotknięciem nadać kształt szlachetny. Jako przykład służyć może znany skądinąd wierszyk „Pojechał Jasio wyszukać żony“, który podajemy obok białoruskiego pierwowzoru, jaki do dziś dnia słyszeć można w okolicach Wilna. Syrokomla, nie zmieniając treści, ni wątku, zgładził niektóre chropowatości stylu, odrzucił kilka zbyt brutalnych obrazów, jako to: „Syna ubrała u tonkuju kitajku, a niawiestku u toustuju rahożu“, „Syna wiazła szaśćmi kaniami, a niawiestku ślapoj kabyłaj“ i tym sposobem powstała jedna z najpiękniejszych perełek naszej liryki.



*

Pajechau synok aż na Ukrainu,
Tudy pajechau nie ażaniuszysia
Adtul pryjechau ażaniuszysia.
Oj wyszła maci ich pirajmaci
Syna witała czyrwonym winom
A niawiestku biełaj atrutaj.
Syn wina niapiu, na kania uzliu
Biełuju atrutu z niawiestkaj wypiu.
„Nia umieła maci nas pirajmaci,
Umiej że maci nas pachawaci“.
Syna ubrała u tonkuju kitajku,
A niawiestku u toustuju rahożu.
Syna wiazła sześćmi kaniami,
A niawiestku ślapoj kabyłaj.
Syna chawała pirad kaściołam,
A niawiestku aż za kaściołam.
Na syna mahile wyros jawor zialony,
A na niawiestki biełaja biaroska.
A raśli, raśli, daj pachinulisia
U miesta wiarszoczki zraślisia.

*



Pojechał Jasio wyszukać żony
Lecz się nie kłaniał matce rodzonej,
I przywiózł żonę — ale nieboże
Teści do serca trafić nie może.

Więc stara teścia kłopota głowę
Jak by ze świata zgładzić synowę
I jadowite gotuje zioła
Gorzką trucizną by ją otruła.

Spotyka syna winem zielonem
A jego żonę zielskiem truconem.
Syn wina nie pił — lecz matki zdrowie
Trucizną z żoną pił po połowie.

„Oj matko, matko! w szczęśliwej dobie,
Niechciałaś, byśmy służyli tobie,
Umiesz ze świata zgładzać bez winy
Umiejże pogrześć twoje dzieciny".

Więc grzebią syna wedle ołtarza,
Grzebią synową w rogu cmentarza.
I wyrósł jawor nad syna głową
A biała brzózka po nad synową.

I rośnie brzózka biała pochyła
I do jaworu pierś przytuliła
Ej czyż nie znacie? — Ej czyż nie wiecie,
Że jest kochanie na tamtym świecie.

Wł. Syrokomla.



„...i rośnie brzózka biała pochyła
i do jaworu pierś przytuliła...“

Rysował F. Ruszczyc.



SYROKOMLA JAKO DZIENNIKARZ.

Powszechnem jest mniemanie, że życie numeru gazety trwa dzień jeden i to w najlepszym razie, gdyż przeważnie kończy ona swą ziemską wędrówkę zaraz po kawie porannej, zwłoki jej czas niejakiś poniewierają się, zanim dobroczynny haczyk śmieciarki nie sprawi im cichego pogrzebu. Taki jest los tych dziesiątek, kroci tysięcy numerów, które oficyny drukarskie co dnia wyrzucają na świat. Z pośród nich jednak zdarzają się niezmiernie rzadkie, szczęśliwsze wyjątki: te aczkolwiek na razie nieczytane, lecz systematycznie zbierane, oprawne, spoczywają sobie w szafach bibljotecznych i po wielu latach stanowią materjał jedyny, nieoceniony wprost pod względem historycznym i obyczajowym.

Prasa jest niejako zwierciadłem życia bieżącego, lecz zwierciadłem magicznym, które po wieku nawet zdolne nam pokazać dawno zamarłe kształty.

Widzieliśmy, jak bogatem źródłem dla poznania dziejów 1812 r. są ówczesne pisma litewskie, obecnie pragnęlibyśmy poznać Syrokomlę na tle prasy współczesnej. Zadanie to podwójne: z jednej strony mimo znanej skromności Lirnika wioskowego, działalność Syrokomli zarówno społeczna, jako też literacka i dramatyczna, mu-

siała się zaznaczyć na łamach pism, z tych zaś notatek pobieżnych, pisanych pod świeżem wrażeniem, wnosić możemy o mierze popularności, jaką się cieszył śród swoich. Z drugiej strony wiemy, że Syrokomla, w ostatnich latach życia, jako członek redakcji „Kurjera“, sam żywy udział brał w ruchu dziennikarsko-publicystycznym, wykazując ogromny talent feljetonistyczny. Większa część artykułów jego, drukowanych w latach 1860—62, posiada trwalszą wartość artystyczno-literacką i przewyższa znacznie przeciętny poziom dziennikarski. Jeżeliby która z naszych firm wydawniczych powzięła projekt wydania kompletnego dzieł Syrokomli, obejmującego również prozę, tutaj koniecznie znaleźćby się musiał wybór jego prac dziennikarskich. Nawiasem mówiąc potrzeba takiego wydawnictwa jest paląca, najobszerniejsze, dziesięciotomowe wydanie, oddawna wyczerpane, obejmuje tylko poezje, jest przestarzałe i niekompletne, gdyż od tego czasu odnaleziono wielką ilość nieznanych przedtem wierszy, rozrzuconych po niezliczonych albumach, co do innych znowu, wydrukowanych jako autentyczne utwory, znalazły się ostatniemi czasy poważne i uzasadnione wątpliwości.

Stan prasy na Litwie, kwitnący w pierwszych dziesiątkach lat wieku ubiegłego, opłakanym był w połowie wieku. Nie miejsce tu dociekać przyczyn, które tkwiły prawdopodobnie w warunkach zewnętrznych, politycznych i cenzuralnych. Atheneum, które wydrukowało pierwsze Gawędy Syrokomli, niektóre jego drobiazgi prozą oraz przekłady z łacińskiego — chyliło się niechybnie ku upadku, mimo niebywałej energji swego kierownika. Inne czasopisma zdążyły już zakończyć swój żywot. Przetrwał je jedynie „Kurjer“, ale jakżeż odmienny od tamtego, który poznaliśmy w r. 1812. Przemianowany z „litewskiego“ na „wileński“ „Kurjer“, jako organ rządowy, począwszy od r. 1837, jest pismem utrakwistycznym, t. j. wychodzi w dwuch językach: rosyjskim i polskim. Nagłówek jego podwójny, brzmi dosłownie „Wilenskij Wiestnik, officialnaja gazieta“, niżej zaś „Kurjer Wileński, gazeta urzędowa“, między jednym tytułem a drugim w nagłówku duży orzeł dwugłowy.

Pismo drukuje się u Glüksberga, wychodzi dwa razy na tydzień, w szczupłym formacie, po stronie lewej tekst rosyjski, po prawej polski. Treść jego niezmiernie sucha, na wstępie wiadomości urzędowe i dworskie, bardzo drobiazgowe, dalej nieco wyciągów z pism zagranicznych. Od czasu do czasu, lecz bardzo rzad-

ko, feljeton o miejscowem życiu artystycznem, np. o koncertach Kątskiego i t. p.

Wypadki polityczne, które nakształt piorunów raz na raz biją z przesyconej elektrycznością atmosfery, znajdują wyraz jedynie w krótkich ogłoszeniach oficjalnych. Więc mamy okólnik o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem Ottomańskim, manifest obwieszczający wojnę z W. Portą. Dalej manifesty o nadzwyczajnym poborze rekrutów. Przemykają się z początku niewyraźne napomknienia o nieporozumieniach z Francją i Anglją, aż oto czytamy manifest 12-go lutego 1854 r. o zjawieniu się floty francuskiej i angielskiej na Czarnem morzu i odwołania poselstw rosyjskich z Londynu i Paryża.

Wojna! Wiadomości, jakkolwiek ściśle rządowe, zdają się rozsadzać oficjalne ramki pisma, które staje się obszerniejsze. Przeglądając te dziś od starości pożółkłe karty, nie mamy bezpośredniego obrazu wypadków, mimo to nie możemy pozbyć się uczucia, że gdzieś daleko rozegrywa się straszny dramat dziejowy, dotyczący i nas najbliżej.

Numer „Kurjera“ z dn. 25 lutego 1855 r. ukazuje się w czarnej obwódce. Na wstępie czytamy manifest—Cesarza Aleksandra II-go: „Niezbadanemu w drogach swoich Bogu podobało się dotknąć nas wszystkich niespodziewanym, strasznym ciosem. Najukochańszy Rodzic Nasz Cesarz Jego Mość Mikołaj Pawłowicz, po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie, która się w dniach ostatnich z trudną do uwierzenia szybkością rozwinęła, umarł 18 lutego...“

Kurjer wychodzi bez zmiany, z tą chyba różnicą, że w ciągu pół roku nosi czarną obwódkę. Krótkie, suche doniesienia z placu wojny oraz nieskończone komunikaty dworskie o ceremonjale pogrzebu i t. p. wypełniają treść jego.

Od roku 1856 pismo wychodzi w nieco większym formacie, drukuje się u A. Marcinkowskiego. Poza wiadomościami urzędowemi i wyciągami z prasy zagranicznej, które zostały bez zmiany, dział lokalny rozszerza się i ożywia. Mamy w odcinku artykuł o projektowanym „Muzeum starożytności w Wilnie“, feljeton o „Towarzystwie Lekarskiem Wileńskiem w 50-ciolecie jego istnienia“, przez d-ra Adamowicza, prezesa Towarzystwa.

Pierwszy raz wspomniane nazwisko Kondratowicza w N-rze 39 z dn. 18 maja 1856 r., przy opisie uroczystego aktu otwarcia muzeum starożytności w Wilnie, w obecności jener.-gub. Nazimowa,

metropolity litewskiego Józefa (prawosławnego), biskupa Wacława Żylińskiego, jenerałów, duchownych, wojskowych i cywilnych urzędników, dworzan (prawdopodobnie szlachty), b. profesorów wileńskiego uniwersytetu, nauczycieli, literatów, artystów, uczniów, znakomitszych ze stanu handlowego i cechów z chorągwiami. Uroczystość zagaił Eustachy hr. Tyszkiewicz, członek Tow., p. Adam Kirkor, odczytał artykuł o „Znaczeniu i postępach Archeologji", p. Kukolnik wygłosił niezmiernie lojalną mowę „poczem — czytamy — rozdano drukowane egzemplarze wierszy, przez członka — spółpracownika Ludwika Kondratowicza (Wł. Syrokomli) na ten akt napisanych".

Niebawem „Kurjer" ogłasza oficjalną listę osób, którym pozwolono wrócić do kraju z wygnania — bądź z zagranicy, bądź z Syberji. Wilno się ożywia, i organ jego jedyny nabiera potrochę życia, coraz częściej spotykamy feljetony na tematy miejscowe, podpisane przez Polaków. Pierwszy artykulik Syrokomli w rubryce „Nadesłane" znajdujemy w Nr 67 roku 1857-go. Jest to „Wspomnienie pośmiertne o ś. p. Juljanie Moszyńskim", lekarzu wileńskim, założycielu szkoły akuszeryjnej przy św. Jakubie, autorze paru książek medycznych „Rady dla matek" i „Pierwsze zasady sztuki położniczej". Artykulik, jak wszystko, co wyszło z pod pióra serdecznego Lirnika, napisany ciepło, autor unika zwrotów szablonowych nekrologów, potrafi oświecić temat z punktu wyższego, bądź to ogólno-ludzkiego, bądź ojczystego: „Ludzie wyższej zasługi — czytamy — niepotrzebują zaprawdę tej marnej garstki kwiatów, jaką zwykliśmy rzucać na ich mogiłę, ale hołd ten należy się im od społeczeństwa, a stawianie przed oczy życia ludzi zacnych i dobrej woli utwierdza w sercach szlachetnego ducha obowiązku ofiary".

W roku następnym obok stałej „Kroniki życia towarzyskiego" pisanej przez pierwszego, rzec można, na Litwie feljotonistę, niejakiegoś Wiesiołowskiego, pojawiają się również tego pióra „Kroniki teatralne i artystyczne". Pierwsza z nich w Nr 10 z dn. 4 lutego 1858 r. poświęcona premjerze „Kaspra Kalińskiego" w teatrze wileńskim z dn. 16 stycznia. Jak widać z recenzją nie śpieszono się zbytnio, tem pochlebniej jednak wypadła:

„Rzadko komu z pisarzy dramatycznych dostaje się w udziale tak olbrzymi zapał, jaki wywołał w tutejszej publiczności nowy dramat historyczny Wł. Syrokomli. Na pierwszą reprezentację, na benefis panny Narkowskiej, bilety były przed tygodniem rozebrane".

„Powodzenie tej sztuki przeszło wszelkie oczekiwanie. Cała publiczność zlała się w jednolitą masę przeniknioną najwyższym zapałem, objawiającym się przez nieustanne oklaski. Autor był w całem znaczeniu słowa zasypany kwiatami“.

Przytoczono treść dramatu, najcelniejsze wyjątki, dowiadujemy się, że rolę tytułową grał Nowiński niezrównanie. W końcu zaś kilka ciekawych szczegółów:

„W gronie widzów znajdowały się po raz pierwszy w wileńskim teatrze po swoim przyjeździe z zagranicy dwie córki wielkiego litewskiego poety Mickiewicza. Starsza z nich Marja jest małżonką znakomitego malarza Tadeusza Goreckiego...“

„...Nazajutrz dyrektor teatru, pułkownik Abramowicz, na pamiątkę powodzenia dramatu przysłał poecie piękny srebrny kubek z wyrażeniem roku i dnia pierwszej reprezentacji sztuki“.

W dalszym ciągu Wiesiołowski, pisząc swe „Kroniki z życia towarzyskiego“, niejednokrotnie wspomina o Syrokomli. Oto „Kasper Karliński ukazał się w druku“, to znowu „widzieliśmy nawet fotograficzne rysunki do tego dramatu, które niebawem sprzedawać się będą. Na pierwszym przedstawia się scena, gdzie Zygmunt (pani Nowińska) opiera się na ramieniu Karlińskiej (panny Markowskiej), czytającej karty męczeństwa Machabeuszów. Drugi rysunek przedstawia portret Derynga w roli Czachrowskiego podczas modlitwy, trzeci portret p. Nowińskiego w roli Karlińskiego, w scenie ze sztandarem“. Na innem miejscu znowu zaznacza, że Syrokomla kończył „Fornarynę“ i pisze nowy dramat. Kończy też Wiesiołowski swą „Kronikę“, poświęconą karnawałowi wileńskiemu, ustępem z poematu Syrokomli „Dni doroczne na Litwie“:

„Zawsze piękne są Litwinki...“

W Nr 35 „Kurjera“ w „Kronice teatralnej“ mamy dość szczegółowy referat o pierwszem przedstawieniu „Chatki w lesie“, widocznie jednak to „dziwactwo dramatyczne“, jak je sam autor oznaczył w tytule, chłodno przyjęte zostało przez publiczność, gdyż w sprawozdaniu ani słowa o powodzeniu.

Przyjazd ces. Aleksandra II do Wilna w r. 1858, był epoką w życiu całej Litwy ówczesnej. „Kurjer“ zamieszcza entuzjastyczny artykuł Chodźki, osławiony wiersz Odyńca, Syrokomla, jakkolwiek nagabywany kilkakrotnie przez Eustachego hr. Tyszkiewicza, milczy uporczywie, a jeżeli co drukuje, to w rubryce „Nadesłane“ (Nr. 88), króciutką notatkę wzywając do uczczenia... artysty teatru

wileńskiego, Józefa Surewicza, z powodu 35-ciolecia działalności scenicznej.

W ciągu 1859 r. Syrokomla kilkakrotnie zabiera głos na łamach „Kurjera“ specjalnie w sprawach teatralnych i artystycznych. W N-rze 77 mamy jego pióra artykuł dotyczący spraw teatru wileńskiego w ogólności, stwierdza, że teatr powoli, lecz stale się rozwija. Winien on być dostępny nietylko dla warstw uprzywilejowanych, lecz dla szerokiego ogółu robotników, którzyby z rodzinami znaleźli tam godziwą rozrywkę.

W N-rze 81 zamieszcza Syrokomla krytykę o komedji Jana Chęcińskiego „Szlachectwo duszy“, przy tej sposobności wypowiada zdanie, które równie dobrze powinnoby dzisiejszym kierownikom naszej sceny wileńskiej służyć za drogowskaz: „Co piękne, wszędzie jest pięknem, szlachetna publiczność wileńska poczuła i serdecznie przyjęła „Szlachectwo duszy“, a widowisko dowiodło pocieszającej prawdy, że teatr lubo niekiedy musi być sługą gustu publiczności, to nieraz znowu jest tego gustu kierownikiem, a dobrze używając swych środków działania, staje się poważną moralną instytucją społeczną“.

W N-rze 86 znajdujemy sprawozdanie o przedstawieniu „Wiejskich polityków“ Syrokomli. Drobnostka ta była na czasie, gdyż dotycząca reformy włościańskiej, podobała się publiczności. Raz jeszcze w tym roku występuje Syrokomla (Nr 88) z krótką notatką o młodym rzeźbiarzu Siwickim z racji wystawienia biustu X. Adama Krasińskiego. Autor i tu potrafił wpleść pogląd szerszy na stan sztuki i artystów swego czasu, który uważa poniekąd za przełomowy: „Minął wiek pojedyńczych mecenasów, a może dla sztuki dobrze, że minął; ale zbiorowemi siłami winniśmy podtrzymać i zachęcać naszych artystów, nie dać zmarnieć młodym zdolnościom, aby, jeżeli talent z czasem zajaśnieje, mieć chlubę, żeśmy się do jego rozwoju przyczynili“.

Rok 1860, to epoka w dziejach czasopiśmiennictwa litewskiego. „Kurjer“ rozpoczął 101 rok swego istnienia, i jak go rozpoczął? Pismo przeszło w ręce Adama Kirkora, wychodzi pod jego redakcją, drukuje się w jego własnej drukarni. Nawet zewnętrznie zmienił się wygląd. Dotychczas, jak zaznaczyliśmy, „Kurjer“ drukował się równolegle w dwu językach, nie wyłączając takich np. recenzji teatralnych, nie wyłączając nawet cytat wierszowanych, które tłumaczono na język rosyjski. Kirkor potrafił wyjednać dla języka polskiego

znaczne przywileje. Pismo nie przestaje być co prawda oficjozem, tytuł pozostał ten sam, dwujęzyczny, na wstępie wiadomości rządowe, podane również po rosyjsku i po polsku, tego atoli jest stosunkowo nie dużo, oddzielone grubą kresą, poczem następuje dział nieoficjalny, wyłącznie polski. Gazeta wychodzi co prawda wciąż jeszcze tylko dwa razy na tydzień, zato każdy numer obejmuje niemniej ośmiu stronic tekstu ogromnego formatu. Można się godzić lub nie z polityczną rolą Kirkora, przyzać mu trzeba niepospolity wprost talent redaktorski. On to, nie kto inny potrafił w warunkach niewątpliwie trudnych, stworzyć pierwszy na Litwie wielki organ, na wzór największych dzienników zagranicznych, z niczego rzec można, stworzył pismo, które śmiało za wzór dzisiejszej naszej prasie polskiej postawićby można. Podziwu godna jest wielostronność „Kurjera“, obok tedy „Poglądu ogólnego“ politycznego, mamy w każdym numerze wiadomości zagraniczne, po kilka obszernych przeglądów na tematy lokalne, liczne oryginalne korespondencje, z najdalszych kraju zakątków, jako też z głównych centrów europejskich, przeglądy literackie i artystyczne, przegląd rolniczy, dalej poezje i w odcinku powieść lub wspomnienia. Słowem dział polityczny, społeczny, ekonomiczny, literacki, a wszystkie traktowane szeroko i gruntownie. Na tem atoli nie kończy się zasługa Kirkora, co najgłówniejsza może, potrafił on obejść się bez tych błędnych rycerzy literackich, którzy zaśmiecają niejedną redakcję; mimo braku tradycji dziennikarskich na Litwie, stworzył przecie swój zespół redakcyjny z sił miejscowych, więcej, stworzył środowisko literacko-artystyczne, sam człek miejscowy, znał warunki i potrzeby kraju, jak swych współpracowników, to też harmonja w tem dobranem gronie panowała najzupełniejsza, lecz o tem niech nam sam Kirkor opowie. Cytujemy kilka ciekawych ustępów z jego „Wspomnień wileńskich drukowanych w „Kraju“ petersburskim w r. 1884-tym:

„O wolną chwilę u nas trudno było; cały dzień jak w tartaku, chyba w nocy o 11 lub 12, kiedy już pierwsza kolumna poszła na prasę, zwykle zasiadaliśmy do przekąski i wtedy bywało u nas najswobodniej i nawet bardzo wesoło. Cały skład redakcyjny, wszyscy młodzi i starzy pracownicy, biorący udział w pismie, wielu ze szlachty, opiekunów i zwolenników „Kurjera Wileńskiego“ w końcu przyjaciele i dobrzy znajomi zwykle zbierali się do mnie w sobotę wieczór na pogawędkę, a nieraz i dla załatwienia rozmaitych interesów redakcyjnych. Trwało to długie lata, z czasów „Teki Wileń-

skiej“ i następnie „Kurjera“. Mieszkał wtedy jeszcze w Wilnie Stanisław Moniuszko. Artyści muzycy nie omijali Wilna. Pamiętne są koncerta Apolinarego i Antoniego Kątskich, Wieniawskich, Nerudów, Kossowskiego i innych. A wtedy i wieczory sobotnie stawały się artystycznemi. Bywali malarze Moraczewski, Dmochowski, Zamet, Straus i inni; artyści dramatyczni: Surewicz, Deryng, Zelinger; lekarze: zasłużony profesor Adamowicz; doktór-poeta, wyborny tłómacz Bajrona Stanisław Rosołowski, Stanisław Wikszemski, Juljan Moszyński, Anicety Renier, Józef Bartoszewicz, wreszcie najbliższi moi przyjaciele: Titius i Donat Reykowski odwiedzali soboty.

Gwarno, ruchliwie, a jak mówili, wesoło było u mnie w soboty. Mieszkanie było obszerne (w murach pouniwersyteckich), swoboda zupełna, tworzyły się grupy, rozmawiano, debatowano, czytano — karty nie istniały zgoła“.

Kirkor wprowadza do tego towarzystwa nowego przybysza ze stron dalekich, exwygnańca Aleksandra Makowskiego i tak mu przedstawia kolejno zebranych gości:

„Usiedliśmy odosobnieni w malutkiej alkowie, skąd widzieliśmy wszystkich:

W tej chwili z drugiego pokoju wybiegł schorzały, dość młody jeszcze człowiek, wysmukły, ściągłej twarzy, bez zarostu, krótko ostrzyżony, w stroju prawie zaniedbanym. Wybiegł, zacierając ręce, chichocząc i gwarząc głośno z drugim młodym człowiekiem, łysawym, również bez zarostu.

— Otóż zgadnij pan, kto jest ten śmiejący się?

— Nie mam pojęcia! Ale zdaje się, że ten pan nie należy do wybitniejszych postaci, jakoś czy nie zanadto rubaszny.

— Właśnie, że to jedna z najwybitniejszych u nas postaci: to Syrokomla!

— A któż ten pan, co z nim rozmawia?

— To Wacław Przybylski, przyrodnik, ale zarazem zdolny literata. Prowadzi on dział przeglądu miejscowego.

Na sofie siedział średniego wzrostu mężczyzna, o wyrazistych rysach, gładko wygolony, rumiany, wyglądał na lat trzydzieści i kilka. Głosem donioslym, prawie basowym mówił do dwóch siedzących obok; mówił pięknie, dobitnie, przekonywająco, wszakże były to najczęściej bardzo dowcipne paradoksy, które irytowały obok siedzącego staruszka, nizkiego wzrostu, z twarzą niepiękną, ale wyrazistą, rozumną. Brał on rzeczy na serjo, sprzeczał się, chciał

przekonywać swego przeciwnika, co mu się nie udawało. Siedzący zaś po drugiej stronie, uśmiechał się, niekiedy tylko rzucając słówko, jak młotem zbijając paradoksalne twierdzenia. Był to dobrze podżyły człowiek, dość wysokiego wzrostu, mocny brunet, bez wąsów, śniadej cery, twarz wyrazista, oczy pełne życia i ognia. Zaczęli rozmawiać o Szyllerze. Siedzący w środku użył jakiegoś aforyzmu, który do żywego oburzył bruneta; powstał i zaczął go zbijać, a mówił z taką werwą, tak podniosłem uczuciem, tak przekonywająco, że upokorzył przeciwnika. Ten ostatni prosił tylko, żeby dla załagodzenia sprawy wypowiedział jakiś ustęp z poezji Szyllera. Usłuchał go chętnie, a srebrzyste, doniosłe tony, jak muzyka najwznioślejsza zabrzmiały w salonie. Cisza dokoła zapanowała, skupiła się grupa z innych pokojów, wszyscy słuchali z zachwyceniem, a mówił długo, bardzo długo.

— Panie kochany! Któż to jest, toż chyba Odyniec?

— Tak jest — Odyniec!

— Jakiż wiersz śliczny! To musi być jego przekład? A jaka pamięć!

— Niezawodnie. — A pamięć niesłychana, całe oddziały raz tylko przeczytane, powtórzy bez omyłek.

— Ale, ale, a któż są ci dwaj, co razem z Odyńcem siedzieli na sofie?

— A jak się panu zdaje, jakiego to fachu człowiek, ten oto staruszek nizkiego wzrostu?

— Trudno mi określić. Fizjognomja dość pospolita, chociaż wpatrzywszy się bliżej, widać, że musi pracować umysłowo. Musi to być jeden z pośrednich pisarzy.

— Oj nie, mylicie się grubo. To nasza chluba, nasza znakomitość — to Ignacy Chodźko, autor „Obrazów Litewskich“. A jak sądzicie, któż jest ten, co takie paradoksa im prawił?

— Tak, on sobie żartował, ale to zaraz widać, że głowa niepospolita, to musi być jeden ze znakomitych pisarzy?

— Że głowa niepospolita, to prawda, ale pisarzem nigdy nie był, i bodaj nie będzie. Jest to znakomity ekonomista, ów sławny skąpiec a najbogatszy pan na całej Litwie. To Rajnold hr. Tyzenhauz.

W drugim pokoju, który był biblioteką, za stołem i na stole siedziało kilka osób w najweselszem usposobieniu. Jeden tylko, właściwie ten, który opowiadał i wszystkich do śmiechu pobudzał, miał minę serjo, ani się uśmiechnął. Postać charakterystyczna: siwy,

prawie od młodości, choć twarz wcale nie stara, wysokie, wyłysiałe czoło, a na skroniach dwa kosmyki występujące jak różki. Kiedy opowiadał ani się uśmiechnął — to Eustachy hr. Tyszkiewicz, założyciel muzeum wileńskiego, prezes towarzystwa archeologicznego, znakomity archeolog. Talent opowiadania niezrównany, dowcip nieprzebrany, wiadomości pełno, a humor służy, jeżeli zdrów, co niezawsze się zdarza.

Przeszliśmy do jadalnego pokoju. Tam za stołem siedział nizki, krępy, stary już bardzo, ale jeszcze krzepki kapłan. Siedział, oburącz trzymając szklankę z herbatą, co chwila z niej popijając po trosze; za każdym haustem dolewał do szklanki rumu z butelki i dokładał cukru, słusznie więc mawiał, że pije zwykle jedną tylko szklankę herbaty, ale ta szklanka była niewyczerpaną. To prałat Mamert Herburt z Fulsztyna, jak się zwykł podpisywać; wielkich zasług, wszystkie akta kapituły wileńskiej z łacińskiego przełożył na polski język.

Do salonu wszedł ciemny brunet, ruchliwy, jakiś roztargniony, w stroju strasznie zaniedbanym. Spodeńki krótkie, jasne, kołnierzyk pomiętoszony, z jednej strony stojący, z drugiej leżący, ruchy nerwowe, na nikogo nie zwracając uwagi, szybko przeszedł do bibljoteki.

— A cóż to za oryginał?

— Oryginał niezaprzeczenie, ale myśliciel głęboki, pisarz znakomity. To nasz estetyk Aleksander Tyszyński.

Udaliśmy się do małego pokoiku za gabinetem; tu było kilka osób, ale jeden tylko głos dawał się słyszeć, głos doniosły, wymowny. Słuchali go ze skupieniem, niektórzy notatki robili. Nietylko wymowa porywająca, ale i sama powierzchowność starca pociągały ku sobie. Piękna, o wyrazistych rysach twarz, wyniosłe czoło, każdy ruch nawet znamionowały coś tak wyższego, nacechowanego taką godnością i powagą, że zdawało się, nie było człowieka, któryby przed nim głowy nie uchylił. Nie nazywaliśmy go inaczej, jak „Ojcze“ lub „Ojczeńku“. I był on doprawdy ojcem, łagodnym, dobrotliwym, ale i surowym zarazem, kiedy tego potrzeba była. W chwili, kiedy go widzimy siedzącego na szezlągu, już wzrok nie przyświecał tej pięknej, pogodnej twarzy. Ale z utratą wzroku nie stracił siły ducha, owszem, jak sam to wyraził w jednym z pamiętnych dla nas przemówień: „W miarę jak zewnętrzne przedmioty poczęły zasuwać się przede mną coraz ciemniejszą oponą, wewnętrzna iskra du-

szy coraz jaśniej błyskać poczynała, a zwierciadło przeszłości i dalsze i szersze zatacza koło".

— Nie powiedzieliście mi dotąd, kto jest ten poważny starzec, zdaje się jednak, że nie mylę się, sądząc, że to musi być nie kto inny, jak Mikołaj Malinowski. Nie powiedzieliście mi dotąd, kto są ci młodzi, jak się zdaje, których tu widzę?

— Oto ten przystojny, na prawo siedzący, to Kazimierz Paszkowski. Jest to mój przyjaciel od ławy szkolnej a stały członek redakcji jeszcze od czasów „Teki Wileńskiej". Dalej obok niego, to Tomasz Snarski, ekonomista; zdolny pisarz, prowadzi w „Kurjerze" dział przeglądu ekonomicznego. Ten oto wysoki, szczupły młodzieniec, ujmującej powierzchowności, to Wincenty Korotyński, poeta uzdolniony, pracownik wyborny, a wszystko sam sobie winien. Ten co idzie z nim razem, to Mikołaj Akielwicz, znany także pod imieniem „Chłopa z powiatu marjampolskiego", biegły znawca języka litewskiego, pisze po polsku i po litewsku. A oto ten, co wchodzi w tej chwili, widzicie, jaki rozumny wyraz twarzy, to Maurycy Krupowicz, nasz naukowy sekretarz Towarzystwa archeologicznego, jeden z najgorliwszych pracowników „Kurjera". Dalej to sekretarz redakcji Władysław Kulikowski, a oto ten czytający gazetę przy stole, taki skromny i cichy, to Józef Gliński, także pracownik „Kurjera", a bardzo zasłużony autor Bajarza polskiego".

Przytoczyliśmy tak obszerne urywki ze „Wspomnień" Kirkora, by pokazać, w jakim to środowisku żył i działał Syrokomla. Stosunek Syrokomli do Kirkora datował się od czasu wydawnictwa „Teki Wileńskiej", gdzie Syrokomla, oprócz kilku „Gawęd" i wierszy ulotnych, zamieścił obszerną monografję Mińska.

W pierwszym roku (t. j. 1860) istnienia zreformowanego „Kurjera" udział w nim Syrokomli był minimalny, gdyż nie można zaliczyć do prac dziennikarskich dość często pojawiających się jego wierszów i gawęd. Poza tem wydrukował w tym roku Syrokomla jeden tylko jedyny artykulik i to w formie listu do redakcji. Poeta, mimo swych niby „postępowych" przekonań, zapalony miłośnik przeszłości kraju i jej zabytków, z bólem donosi o czynach wandalizmu: W miasteczku Stołpcach (pow. miński) w podominikańskim kościele obraz Smuglewicza przedstawiający św. Michała Archanioła został przemalowany przez parafjalnego Apellesa. W Mirze zamek zbijają na cegłę. „Sądzę, Szanowny Redaktorze, że należałoby, abyś w twej gazecie ustanowił osobną rubrykę do zapisywania

dziel wandalizmu, dokonywanych na Litwie. Smutna to, ale konieczna powinność, może obawa publicznego zawstydzenia wytrąci z rąk wandalów młot burzycielski i świętokradzki penzel i zmusi ich choć do mimowolnego poszanowania świętych pamiątek przeszłości, których są stróżami".

Wszystko to — jak za naszych czasów... chciałoby się zawołać.

W odezwie wydawcy poprzedzającej rocznik następny (1861), nazwisko Syrokomli spotykamy już w liczbie członków redakcji, obok Malinowskiego, Krupowicza, Korotyńskiego, Snarskiego, Kulikowskiego i Glińskiego.

Widać jednak, że temperament poety niechętnie i z trudem naginał się do specjalnych warunków pracy dziennikarskiej, w pierwszych artykułach jego widać jeszcze pewne niewyrobienie, które jednak niebawem ustępuje pierwszorzędnemu talentowi felietonistycznemu, przyczem wrodzony humor, żywość fantazji, styl barwny i płynny, oraz stale we wszystkiem przebijająca nuta sercowa jako też gorąca miłość kraju rodzinnego, w jeden kwitnący splatają się wieniec.

W N-rze 14 roku 1861 zamieszcza Syrokomla „Parę myśli o poezji", z których trudno wywnioskować o co właściwie chodzi autorowi. Przejawiający się wtedy już w społeczeństwie naszem prąd pozytywistyczny, widocznie był przeciwny nawskroś romantycznemu usposobieniu poety, gdy „postępowość" jego zmusza wbrew własnym przekonaniom popierać wstrętny kierunek. Stara się więc jak umie pogodzić sprzeczne uczucia. Czasem z głębi serca wyrwie mu się skarga:

„Dziwnem się zdaje, że poezja widocznie maleje i upada, gdy tak zw. nauki ścisłe olbrzymieją. Rzekłbyś wysoki duch Boży uleciał z piersi ludzkości, zostawując miejsce materjalizmowi, który wziął na siebie odrodzenie świata, jakowego czysty duch dokonać nie zdoła".

Wnet jednak z właściwą sobie pogodą umysłu, chociaż wbrew może rzeczywistości i logice stara się przekonać czytelnika, a raczej siebie samego, że to przeciwnie:

„Poezja zwycięzko rozlała się po wszystkich gałęziach praktyczności i uszlachetniła je; pulsuje w cyfrach arytmetycznych, drga w elektrycznym drucie, poddyma kocioł parowy, staje z pługiem orać twardą, odłogiem leżącą ziemię". Widocznie jednak samemu autorowi niewsmak ta poezja kotłów parowych i drutów elektrycz-

nych, tęskni on za piosnką, która „orzeźwia w upał wiejską żniwiarkę, rozpala rycerza na polu bitwy, żebrakowi pod kościołem daje zapomnieć chłód i głód“ i nie mogąc rozumowaniem uśmierzyć wewnętrznej rozterki, kończy jako wierzący chrześcijanin: „Łaski nam potrzeba, łaski, która nauczy nas słuchać i rozumieć“.

Syrokomla obejmuje w „Kurjerze“ przegląd literacki, w N-rze 16-tym znajomi czytelnika z utworem czarnogórskiego poety Mazuranicza „Śmierć Izmaela Czengis-Agi“, który streszcza, illustrując najcelniejszemi urywkami własnego tłumaczenia. „Przegląd literacki“ w Nrze 19 poświęcony poezji białoruskiej, specjalnie utworom Wincentego Marcinkiewicza. Syrokomla gorąco broni praw białoruskich, twierdząc, że język słowiański z natury rzeczy coraz to na liczniejsze rozpadać się będzie djalekty, wskazuje na świetną przeszłość i kulturalne tradycje Białorusi, porównuje z mową małoruską, która się rozwinęła i posiada własną poezję:

„Inną, smutniejszą dolę miał język białoruski, przeszedłszy na wyłączny użytek ludu, bo też i warunki bytu tego ludu były odmienne. Na piaszczystych wydmach, albo na grzęzawicach lub w ciemnych lasach osadzony, nie zakosztował nigdy lepszej doli... brał bezmyślnie czarkę gorzałki ze złowrogich rąk żyda, pił ją dla zapomnienia biedy, a gdy mu pociemniało w głowie, jak w jego kurnej chacie, zdobył się wreszcie na piosnkę, smutną słowami i tonem, jak szum sosny borowej, jak jęk wiatru w kominie...“ Wspomina o ludowych poezjach białoruskich, zebranych przez R. Zieńkiewicza i Czeczotta, z kolei przechodzi do oryginalnych białoruskich utworów Marcinkiewicza. Streszcza popularnego „Hapon'a“: ekonom kocha się w wieśniaczce Katarzynie — bez wzajemności. Kocha ją również młody parobczak Hapon. Ekonom zdaje rywala w rekruty. Za kilka lat zarządano od szlachty legitymacji, ekonom nie może się ze szlachectwa wykazać i musi iść do wojska. Podkupił doktora i pewno uszedłby niebezpieczeństwa, gdyby w decydującej chwili nie zaprotestował młody oficer, kierujący poborem rekrutów. Oficerem tym jest nikt inny, jeno Hapon, który był na wojnie i za dzielne czyny awansował na oficera. Ekonom idzie w sołdaty, Hapon żeni się z Katarzyną, która tymczasem we dworze u pani nauczyła się czytać.

Syrokomla, oddając zasłużoną pochwałę talentowi Marcinkiewicza, potępia treść tego utworu: „...mimo pojedyńczych obrazów, śmiało i biegle nakreślonych, nie możemy pochwalić Hapona. Dzisiaj

wcale niewczesnem jest drażnienie starej niechęci pomiędzy klasami. A jeżeli z jednej strony nie wierzymy, aby wszyscy ekonomowie byli tak źli, jak opisany przez autora, to z drugiej ani przypuszczamy, aby Hapon, dziecię poczciwego ludu naszego, zostawszy już oficerem, miał chować na dnie serca brzydką zemstę". W tym sądzie jakże jasno wyraża się szlachetne usposobienie Syrokomli, jego rycerskość, właściwa tylko — starej kulturze. Inna znowu powiastka Marcinkiewicza, napisana po polsku, a dedykowana Syrokomli, opisuje kłopoty literata, „kiedy z gotowym rękopisem szuka nań nabywcy. Ryżobrody księgarz daje mu 10 rb. i to książkami, bogaty panicz ofiaruje kwotę na druk potrzebną, ale za 30 proc. i t. pod...." I tu Syrokomla z wrodzoną słodyczą powiada: „Niewiem, czy przystała tego rodzaju publiczna spowiedź z codziennych kłopotów, przez które przechodzimy. Dla siebie miejmy ów chleb łzami zlany, a posypany popiołem, który jemy z łaski brodatych i bezbrodych orędowników literatury..." Końcowa uwaga przydałaby się i dziś każdemu autorowi, piszącemu dla ludu: „...niech nie ustaje w swem szlachetnem usiłowaniu kształcenia ludu, niech mu głowę rozwidnia, serce podnosi i nakoniec niech nie bierze sobie za zasługę kreślenia w zbyt wiernych barwach drobiazgów powszedniego życia. Nie w nich żywioł poezji, zwłaszcza takiej, która ma na celu wznosić lud wiejski".

W N-rze 24 znajdujemy krótki „List Wł. Syrokomli", jest to właściwie coś w rodzaju odpowiedzi redakcyjnej jakiemuś anonimowi. Pomijając treść nic nieznaczącą, powtarzamy jeden frazes dosadnie charakteryzujący pogląd Syrokomli na konserwatystów i postępowców:

„Wszelka u nas robota, mająca na celu ulepszenie i postęp, zaraz na początku spotkać się musi z dwoma nieprzyjaznemi obozami: zastarzałych konserwatystów, brzydzących się na oślep wszelką nowością i gorszych jeszcze, niż tamci, zagorzałych ultra progressistów, którzy nietylko chcą gruszek na wierzbie, ale chcą je mieć wtedy, gdy wierzba zaledwo kwitnąć poczyna".

„Przegląd literacki" w N-rze 26 i 27 poświęcony popularnej naonczas „Historji polskiej, opowiedzianej wierszem przez Marję Ilnicką". Syrokomla, jako poeta z bożej łaski, powstaje przeciwko systematyczności dziełka: „Niech Bóg w nasze czasy strzeże historję od opowiadań wierszem... U poety, jako u dziecka, natchnienia nie mamy prawa pytać, dlaczego jeden przedmiot silniej, niż drugi do



CZŁONKOWIE REDAKCJI „KURJERA WILEŃSKIEGO“, — W GRUDNIU 1861 ROKU.

W pierwszym rzędzie siedzą: Tomasz Snarski, Mikołaj Malinowski, Maurycy Krupowicz, Wincenty Korotyński.
W drugim rzędzie stoją: Józef Gliński, Kazimierz Paszkowski, Władysław Kulikowski, Ludwik Kondratowicz (Syrokomla).

jego duszy przemawia, dlaczego czasem twardnieje i sucho brzmi ton lutni.“ Nie może też darować autorce, że pominęła dzieje bajeczne: „najprzód te dzieje tak bardzo bajecznemi nie są, powtóre pasmo ich to niezaprzeczona, bogata, wyłączna własność poezji, to nasza wspaniała, przeddziejowa epopeja. Ten orzeł na gnieździe i nazwa Gniezna, ta Wanda, co nie chciała Niemca, ta Smocza Jama pod Wawelem, którą dzisiejszy posiadacz może zasypać ziemią, ale nigdy zapomnieniem, to wszystko woła o pieśń!...“

Następny „Przegląd literacki“ (w N-rze 38), pisany wyjątkowo przez W. Przybylskiego, poświęcony nowej (szóstej) serji „Gawęd i rymów ulotnych“, daje niejakie wyobrażenie o popularności i miłości, jaką cieszył się Syrokomla śród swoich: „Dzięki ci lirniku wioskowy za ten nowy zbiorek gawęd i rymów ulotnych, myśmy przywykli i pokochali twe pieśni, słuchając ich człek się czuje moralnie zdrówszy i do pracy lepiej się garnie... Pieśni naszego lirnika, to jak śpiew skowronka, co o rannej dobie zawiśnie nad głową oracza i dzwoni mu na nutę modlitwy hymn miłości i nadziei przyszłego plonu z jego pracy krwawej“.

Począwszy od numeru 63 Syrokomla prowadzi w „Kurjerze“ tak zw. „Przegląd miejscowy“. Objął tę rubrykę po Przybylskim, którego wysłano do Wołogdy na nauczyciela, objął ją w czasie dla feljetonisty najgorszym, bo... ogórkowym. Zamiast narzekać na brak tematu, lub bajać o wężu morskim, radzi sobie wybornie wychodząc poza mury miasta. Z właściwą sobie tkliwością opisuje obchód M. B. Zielnej w kościołku wiejskim, przy tej sposobności zręcznie wplata spostrzeżenie swe nad stanem oświaty ludu, o jego charakterze, o wierzeniach i przesądach, przechodząc do spraw bardziej realnych potrąca o kwestję uwłaszczenia, dalej kilka uwag o rolnictwie, o warzywnictwie ludu podmiejskiego, potrzebach gospodarskich i urodzaju.

Nr 65. Lato zbliża się ku końcowi, „przeglądowi wcale jeszcze nie pilno wracać do miasta“. „Przyjemność, nawet szczęście człowieka, zależy od punktu, z jakiego patrzymy, od imienia, które rzeczom nadajemy; słowem od złudzenia. Jak zwykle, tak i teraz łudźmy się zdrowi, a komu już sprzykrzyło teraźniejsze stare lato, niech obecną chwilę nazwie młodą jesienią, a poweseleją w jego oczach pola, łąki i lasy“.

Poeta widocznie zwykł się z pracą dziennikarską i mimo rozpaczliwy wtedy już stan zdrowia, zakreśla plan dalszych przeglą-

dów: „W przeszłym Przeglądzie poświęciliśmy z ludem kwiaty, kłosy i owoce, dziś uczyńmy pobożną intencję zwiedzić kilka bliższych od Wilna kościołów wiejskich, rzucić jeszcze okiem na wioski, zajść do dymnej chaty rolnika i pomodlić się na wiejskim cmentarzu“.

Niezrównana jest u Syrokomli ta miłość kraju ojczystego: jako poeta, historyk, a nawet jako dziennikarz nie widzi dla siebie poza tą, najbliższą ojczyzną swoją, godnego tematu, i tem właśnie trafia do serca czytelnika litewskiego, tak bardzo w gruncie przekonań swych skłonnego do patrjotyzmu lokalnego, może nieco parafjalnego, ale zawsze szlachetnego, gdy idzie ręka w rękę z szerszem pojmowaniem obowiązków obywatelskich, opiera się na niewzruszonych podstawach jedności historycznej.

Syrokomla zaczyna na ten raz od charakterystyki samego Wilna, charakterystyki — powiedzmy — bardzo pochlebnej, jaka tylko z ust szczerze kochającego syna wyjść mogła, nie bacząc na tyle cierpień, jakich tu właśnie doznał:

„Powiedział jakiś moralista: „Olbrzymią byłaby spekulacja, gdyby ludzi kupować za ich rzeczywistą wartość a sprzedawać za wartość tę, jaką oni sami sobie przypisują“. Zdanie to, malujące zarozumiałość ludzką, prawdziwe co do niektórych Wilnian, naodwrót można zastosować do samego Wilna, do jego okolic, murów i większości mieszkańców. Dobrzeby wyszedł zaprawdę, gdyby kto kupił Wilno wedle jego własnej ocenki, bo sprzedałby je z ogromnym procentem, gdyby zapłacono wedle jego rzeczywistej wartości. Jakie to skromne unikanie od oka i podziwu. Jak się miasto otula górami, aby kokieterją nie razić oczu. Jak tu głęboko na samym dnie serca człowieka ukryte są jego cnoty, których wiele, o wiele posiada... Kiedy znajdziemy w życiu coś więcej nad nasze nadzieje, czy nieprawda, że to miła niespodzianka? I oto tajemnica tej sympatji, jaką Wilno w każdym obudza“.

Autor wychodzi wczesnym rankiem ulicą Ostrobramską za miasto, gdzie się łączą trakty oszmiański i lidzki, „Wieśniacy z dwóch stron jadą do miasta ze swojemi produktami... Najrańszy przybysz do miasta, to mleczarz, który pozbawia się godzin spoczynku, abyś ty, łaskawy czytelniku „Kurjera“, miał świeżą śmietankę do kawy... Dalej wloką się fury z sianem, wiozą pokarm dla szkap, któremi będziesz latał w dorożce, młody paniczu... Wieśniak pomyślał i o twoim obiedzie, cny mieszkańcze miasta, beczenie ba-

ranów, kwokanie kur, pianie kogutów, kurzawa na drodze wzbudzona racicami pędzonych wołów, daje otuchę, że nie będziesz dziś głodnym... Wieśniaczki niosą do miasta co wydała ich licha gospodarka, rzadko kiedy ogrodowiznę, najczęściej ptactwo domowe, jaje, lub dary litewskich bóstw leśnych, latem jagody, jesienią grzyby, na wiosnę przylaszczki i inne ranne kwiaty".

Tu wpleciony prześliczny obrazek, istna perełka, niepozbawiony głębszego podkładu:

„Czy ci nie żal sprzedawać tych pięknych kwiatów—spytałem raz z sielankową czułością u wiejskiej dziewczyny, kupując bukiet przylaszczek — uzbierałabyś parę garnczków, postawiłabyś je na oknie w chacie, tam tak ciemno... zawszeby ci spojrzeć weselej.

— A na co w chacie takie głupstwo, jak kwiaty — odpowiedziała z mrożącą szczerością — niema czasu na zbieranie kwiatów dla siebie, a w chacie chleb potrzebny, wiadomo wiosna... dobrze i kilka groszy.

Kiedym kupił kwiaty, a zapłaciwszy podarował je tejże samej dziewczynie, podziękowała z uśmiechem, zatknęła kwiaty do włosów i odeszła.

— Ona je znowu odprzeda na rynku — powiedział ktoś z boku, patrząc na moją uliczną galanterję. Nie byłem wdzięczny przechodniowi za tę uwagę, bo z takich drobnych fakcików składa się ogromny fakt zabójczej niewiary w dobrą stronę ludzi".

„Przegląd literacki" w Nrze 67 i 68 zawiera szczegółowe sprawozdanie, raczej streszczenie pierwszego rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, poprzedzone ogólną charakterystyką warunków, w jakich język nasz i piśmiennictwo znajdują się pod zaborem pruskim, o ucisku, odmawianiu nam wszelkich praw i o ważnej roli, jaka wobec tego przypadła polskiemu Tow. przyj. nauk w Poznaniu.

W następujących numerach, 72—74, znajdujemy pióra Syrokomli dłuższy opis miasta Chocima, nie jest to rzecz oryginalna, gdyż poeta nigdy nie był w tamtych okolicach, lecz streszczenie z rosyjskiego; pomijamy więc tę pracę i zwracamy się do następnego „Przeglądu miejscowego" w N-rze 73. Zgodnie z programem autor pragnie nas poznajomić z bliższą i dalszą okolicą podmiejską. Z humorem opisuje stan dróg wiejskich, rozpaczliwy, nawet w najbliższym promieniu Wilna, bo „do Wilna, jak do nieba, drogi są ciasne i krzemieniste — i oto może jeszcze jedna przyczyna, dlaczego Wil-

no tak kochamy". Opisuje okolice, gospodarkę, lud, biada nad jego lenistwem, wciąż mając na oku blizką już reformę: „Niech Bóg niedopuszcza, abyśmy mieli uznawać konieczność przymusu nad ludem; pozna on swój interes, a swobodną dłonią, kiedy się ujmie za sochę lub kosę, wynagrodzi swoje dzisiejsze opuszczenie. Ale tymczasem stan przejścia, nieoswojenie się ze swobodą, nieznajomość jej prawdziwych warunków, muszą koniecznie dać się uczuć krańnie w jej najżywotniejszym punkcie, bo na roli".

Śród tej, pełnej humoru, barwnej prozy, od czasu do czasu ze schorzałej piersi poety wyrywa się jęk boleści, jak to „Cupio dissolvi:"

„Naco mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała".

Lecz kres cierpień ziemskich jeszcze nie nadszedł, przedtem sądzono było odejść z grona, które tak serdecznie w koło „Kurjera" się skupiło, blizkiemu przyjacielowi, Ignacemu Chodźce. Syrokomla poświęcił autorowi „Obrazów litewskich" dłuższe studjum w numerach 75—89. Szczupłość miejsca nie pozwala nam streszczać tej pracy, przytoczymy tylko krótki urywek, świadczący, jak ten „demokrata", za jakiego miał się Syrokomla, umiał odczuwać przeszłość, jak czcić tradycję:

„Obrazy, postacie i myśli w opisach Chodźki były wyjęte z serca narodu, z najszlachetniejszej strony jego serca. Stojąc na pograniczu dwóch epok, Chodźko bardzo wiele pamiętał ze staroświeckich czasów, resztę odczuwał zmysłem, a na wszystko umiał rzucić tak urocze światło miłości, że porywał czytelnika ku tamtym czasom, i tamtym ludziom... Któż z nas, mieszkańców Litwy, nie czuł w sobie ducha Chodźki, w tych świętych chwilach, kiedy Bóg nas ubłogosławił dobrą myślą lub dobrym czynem. Kiedy się czuło gwałtowną potrzebę ukorzyć głowę przed Bogiem i Kościołem, kiedy się niosło uwielbienie dla prostych a wysokich cnót staroświeckich, kiedy serce zadrgało obywatelską żądzą publicznego dobra, kiedy nas nęcił niewinny urok patrjarchalnego życia w kole rodzinnym..."

Cóż na to powie kosmopolityczno-żydowska banda, uzurpująca dziś monopol „postępu" i w braku własnych „autorytetów", powołująca się na Syrokomlę, jako na „swojego?"

Syrokomla, jakkolwiek z powołania i rodzaju talentu swego,

bynajmniej nie był dramaturgiem, rozumiał wielkie znaczenie sceny i jej pedagogiczny rzec można wpływ na masy. W tym celu przymuszał się do pisania dramatów, chcąc zapełnić ile można dotkliwą lukę w piśmiennictwie naszym i stworzyć repertuar ojczysty, przystępny warstwom najszerszym. Poza tem interesował się żywo sprawami teatru w ogólności, wileńskiego w szczególności. W numerach 80 i 81 „Kurjera" poświęcił „Przegląd wszechstronny" sprawom bieżącym teatralnym, zestawiając scenę polską z rosyjską, niemiecką, francuską i angielską.

Następny „Przegląd miejscowy" (Nr 86) przynosi nam opis miasteczka Rudominy, kościoła i parafji, autor wykazuje zbawienny wpływ zacnego kapłana na lud, jego oświatę, stan trzeźwości i t. p. Przytacza liczne miejscowe obyczaje i zabobony, tem ciekawsze, że wiele z nich poszło obecnie już w zapomnienie.

Zwiedzając okolice Wilna, z kolei autor wprowadza nas w skromne, lecz tak blizkie sercu naszemu ściany dworku w Borejkowszczyźnie. Ciekawy ten feljeton, znajdujący się w numerze 90 „Kurjera" z r. 1861, podaliśmy w całości na innem miejscu tego zeszytu.

Najdalszym kresem, do którego dociera „Przegląd" (Nr 93), jest miasteczko Wołożyn, leży ono „na samym krańcu horyzontu, gdzie sklepenie nieba całkiem przypada do ziemi, gdzie się już kończy świat na głucho deskami zabity, o mil górą 15 od Wilna, w powiecie oszmiańskim". A więc skoro za Wołożynem świat deskami zabity, z konieczności wypada przerwać podróż, to też autor w następnym przeglądzie (Nr 94 i 95) zwraca się do innego tematu, niemniej swojskiego, niemniej blizkiego sercom słuchaczy. Penzlem mistrzowskim szkicuje nam postać wędrownego kramarza, nawiązując do tego uwagi o roznośnym handlu książek i o jego wielkiem znaczeniu oświatowem, sprawa ta niewątpliwie blizko musiała obchodzić poetę, gdyż jej poświęcił jedną z najpiękniejszych swych „Gawęd": „Księgarz uliczny". Sprawa kolporażu książek u nas na Litwie dotychczas jest paląca, poruszymy ją w jednym z najbliższych numerów „Litwy i Rusi".

W Nrze 97 feljetonista, poważnie nastrojony, zawsze pełen ducha obywatelskości i bezgranicznej miłości kraju ojczystego, robi doroczny rachunek sumienia:

„Za miesiąc, stary rok przekaże nowemu rdzawe żalazne berło, które dość niefortunnie piastował. Co wziął od poprzednika, co

przekazuje następcy, czy ziścił obietnice? Zapytajcie śniegów przeszłorocznych, wobec których zawierał swoje pacta conventa z ludzkością... Ale powołując do zdania liczby rok ubiegający, powołajmy do rachunku sumienia i samych siebie.

„Kawalerze co się kształcisz w zakładzie naukowym, społeczność nasza ma prawo spytać, czegoś się nauczył... i z matematyki, bo w cyfrach leżeć będzie niejedno zadanie—i z historji, jeografji, bo jak możesz kochać ziemię rodzinną, nie znając ani jej przeszłości, ani obecnej fizjonomji — zoologji, botaniki, fizyki i chemji, bo hańbą jest dla obywatela rolniczego kraju, zmuszonego dziś do zmiany systemu gospodarczego, nieznać otaczającego nas świata natury, a nieumiejąc korzystać ze skarbów koło nas rozlanych, wzywać francuza lub niemca, aby je rozpoznał.

„Kolejno taż sama natrętna społeczność zwraca się do płci czułej. Pogłowie męzkie uchylając czoła przed niewiastą, zaprasza ją dzisiaj nie do tańca, ale do dzielenia chlubnej i mozolnej pracy w gospodarstwie i w gronie społecznej rodziny. Wszczepiać w serce syna cnoty religijne, moralne i obywatelskie, emancypować córkę z niewoli francuskich guwernantek i fortepjanowych mistrzów, stanąć jako pośredniczka w stosunkach męża z jego wyszłemi z poddaństwa sąsiadami, chrześcijańską ręką umieć podać lekarstwo choremu, z anielską cierpliwością uczyć ciemną wioskową dziatwę — oto wysokie stanowisko kochającej swą ziemię obywatelki".

Tak to przed pół wiekiem rozumiano „emancypację" kobiety.

Rok 1862. W odcinku przynosi nam „Kurjer" poemat Mazuranicza „Śmierć Agi Izmaela Czergisa", w tłómaczeniu Syrokomli. Dalej poświęca Syrokomla pięć obszernych artykułów (Nr 6, 7, 17, 23 i 24) przeglądowi dzieł polskich, wyszłych w Wilnie w ciągu 1861 roku. Rzecz to napisana sprawozdawczo, zwięźle, samą ilością i różnorodnością tytułów świadczy o niezwykłym ruchu wydawniczym i o potrzebach kulturalnych Litwy z przed pół wieku. Mamy więc w tym przeglądzie dzieła treści religijnej, moralnej, publikacje dla ludu (tym poświęca sprawozdawca szczególną uwagę) poezje, dramaty, pamiętniki, powieście, podróże, historję, nauki przyrodnicze, rozmaitości i t. p. Jak bardzo w tym czasie umysł poety zaprzątnięty był kwestją oświaty ludu, którą uważał słusznie za nieodzowny warunek i podstawę reformy włościańskiej, świadczy między innemi „Gawęda", zamieszczona w odcinku numeru 13 „Szkoła wiejska".

„Przegląd miejscowy“ w numerze 16, napisany lekkim stylem feljetonowym, o wszystkiem i o niczem o karnawale i o popielcu, o pogodzie, drogach, przednówku.

W tym czasie z grona, które stanowiło niejako „sól“ społeczeństwa naszego na Litwie, a które się grupowało koło Syrokomli, ubyła jeszcze postać wielce zasłużona, utalentowanego malarza Wincentego Dmochowskiego. Syrokomla, aczkolwiek sam cierpieniem złamany, przeczuwający może blizki kres swej drogi ziemskiej, poświęca przyjacielowi w N-rze 18 obszerne, serdeczne wspomnienie.

Zbliżająca się wiosna w zbolałej piersi poety budzi serdeczną nutę, a jak potrafi odczuwać jej urok, czy to śród ciszy wiejskiej, czy też nawet w murach miejskich, gdzie na koniec dni jego zamknięto słowika, gdy „słońce złotem oblało wolną już od śniegów górę zamkową i zwaliska baszty, a brylantami opromieniwszy krzyż na katedralnym kościele rzuciło rzeźki blask życia na twarze przechodzących. Woda na odnodze Wilenki poruszając koła w Królewskim młynie, z jakimś zuchowatym rytmem spadała z upustu, wirowała, pieniła się i biegła do swego ujścia ochoczym biegiem ucznia wyzwolonego z klasy“. („Przegląd miejscowy“ w N-rze 22).

Autor, zwabiony piękną pogodą, wychodzi na miasto, zwiedza pracownię rzeźbiarza Siwickiego, ogląda tam model pomnika dla Mickiewicza: „Na wysokiej podstawie stoi wieszcz oparty na skale, z ramion jego zwisa fantastycznie kudłata burka, w ręku księga, a u stóp lutnia“. Model oczywiście nigdy nie został odtworzony w trwalszym, niż gips i glina materjale; gdzie się podział? Czy zachowała się po nim bodaj fotograficzna podobizna — nie wiemy. To tylko wiadomo, że dla pomnika wieszcza Litwy w stolicy Litwy nie było i niema miejsca. Wychodząc z pracowni spostrzegawcze oko Syrokomli widzi w sieni psa modelowanego i z właściwym sobie, nieco gryzącym humorem, zauważa: „Zaprawdę! dosyć glinianego stróża do pilnowania domu artysty na Litwie. Nikt tu nie przyjdzie wykraść biedę, która w pracowniach zwija dla siebie stałe gniazdo“.

Wielkim wypadkiem dla Wilna było otwarcie w r. 1862 ruchu kolejowego. Już przedtem ciekawość budziły nieznane postacie „szmendeferczyków“, tak bowiem nazywano inżynierów i wogóle służbę kolejową — francuzów. Cóż dopiero, gdy naprawdę kursować zaczęły pociągi (w pierwszych czasach 2 razy tygodniowo). Syrokomla wybiera się w towarzystwie innych „rozlewców atramen-

tu“ na stację kolei żelaznej „daleko za miastem, nieopodal kościoła św. Stefana położoną“. „Grupa świeżych murów daje jej pozór jakiejś odludnej kolonji“.

„Przed stacją ruch był znaczny, mający ruszać do Kowna lub zagranicę, przybyli wcześnie, aby się zaopatrzyć w bilety. Znajomi, przyjaciele, krewni przybyli przeprowadzić odjeżdżających, zebrała się garstka, jak my, ciekawych, i oto dziedziniec napełnił się miejskiemi dorożkami i powozami najrozmaitszych kształtów. Omnibusy z hotelu Niszkowskiego i Poznańskiego ze złotemi napisami swych nazwisk nietylko na drzwiczkach powozów, lecz i na czapkach lokajów, przywiozły swych lokatorów“.

Oględziny dworca kończą się na bufecie „uprzywilejowanych klas pierwszej i drugiej: z nakrytemi stołami do obiadu, z samowarem, łakociami, bawarskiem piwem, z poza którego wyglądają chcące zachować incognito spirytualia“ (K. W. Nr 25).

Przegląd wielkopostny (Nr 27), jak przystało — bezbarwny i postny, kończy się jednak, jak gdyby przedsmakiem dalekiej jeszcze Wielkanocy:

„Nie to polka — którą grały
Powolniej to prędzej,
Lecz to polka, co chleb biały
Wypieka dla nędzy.

„Nie to mazur — co swe ruchy
Na klawiszach brzęczy,
Lecz to mazur, pulchny kruchy,
Co święcone wieńczy“.

Zanim jednak nadejdzie wesoły dzień Zmartwychwstania Pańskiego:

„Nie ja biję, wierzba bije“ zato, że was było tak mało w kościołach wileńskich w kwietną niedzielę“, tak karci feljotonista w N-rze 30 czytelników i żeby dać dobry przykład, zwiedza w ciągu Wielkiego tygodnia wszystkie kościoły, opisuje groby z prawdziwem przejęciem, by kończyć swój „Przegląd“ w N-rze 33 wesołem „Alleluja!“

Zanotować wypada w N-rze 35 artykuł Syrokomli o Czechach. Nie jest to jednak praca oryginalna, lecz streszczenie z „Gońca“ moskiewskiego.

Niezmiernie ciekawy pod względem historyczno-obyczajowym jest „Przegląd miejscowy“ w N-rze 36, opisujący jarmark wileński z przed pół wieku. Jarmark, na którym można było wszystko widzieć, wszystko dostać, który zaopatrywał nietylko Wilno, lecz całą Litwę na rok okrągły we wszystkie potrzeby, począwszy od pierników i bakalij, mydeł zagranicznych i... krajowych (co daje powód autorowi do napisania Antizabłocjady), sreber warszawskich, okularów i narzędzi optycznych, kończąc na — „oryginalnych“ urnach z Pompei i Herkulanum, rzeźb z marmuru karyjskiego, antycznych i późniejszych mistrzów, których ceny często bardzo pokaźne bywały. Feljeton daje nieoszacowany obraz ówczesnego handlu, kultury, potrzeb, zwyczajów, tem ciekawszy, że to jeden z ostatnich już tego rodzaju jarmarków w Wilnie, gdyż jak sam ator przewiduje w końcu, „kolej żelazna, ułatwiając sprowadzenie potrzebnych przedmiotów z Warszawy, Petersburga i zagranicy, oswaja nas z prawdziwą wartością rzeczy“, ta kolej niebawem koniec położyć miała nietylko tradycyjnym jarmarkom, lecz całemu patrjarchalnemu ustrojowi życia na Litwie.

W następnych numerach (38 —40) zamieszcza Syrokomla „Krótkie studjum nad poetą niemieckim Henrykiem Heine“. Po 22 maja nagle przerywają się artykuły Syrokomli.

Przywykli w każdym niemal numerze widzieć nazwisko poety, przeglądamy stronicę po stronicy, numer po numerze — napróżno; zda się, jak gdyby cień niespodzianie padł na te karty, kiedy w dzień pogodny chmura zasłoni jasne oblicze słońca. Treść pisma staje się jakaś sucha, bezbarwna; aż oto nagle z chmury padł grom: w N-rze 69 z dn. 4 września w czarnej obwódce spotykamy krótką wiadomość tej treści:

„Miasto nasze wczorajszego wieczora dwoistą pokryło się pomroką — nocy i żałoby, która kraj cały zasmuci. O godzinie 9-tej po południu zakończył doczesne życie Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla), mąż, którego dosyć powtórzyć imię, aby przypomnieć narodowi jego chlubę, jedną ze świetnych gwiazd jego aureoli, niestety zbyt wcześnie zgasłą. Nie mamy ani dosyć sił ducha, ani dosyć swobody w drżącym ręku, ażeby się rozwodzić nad niepowszechną dla nas stratą. Miserere mei Domine! miserere mei“.

Następny numer, również w żałobnej obwódce przynosi nam szczegółowy opis pogrzebu:

„Dnia wczorajszego, o godz. 2-ej po południu, Wilno złożyło

w grobie na cmentarzu Rossa zwłoki ukochanego wieszcza swojego Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli). Macierzysta ziemia przyjęła już do swego łona to wysoko bijące serce, które tyle pragnęło i cierpiało na tej ziemi, a dusza Pańskiego wybrańca stoi przed oblicznością Boga z wieńcem niepożytej zasługi i chwały. Pokój ci, ukochany wieszczu, bracie, przyjacielu i współpracowniku nasz!

We wtorek już nazajutrz po zgonie ś. p. Ludwika Kondratowicza, obce oko zaraz odgadnąć mogło, że kraj poniósł wielką jakąś niepowetowaną stratę. Przez cały dzień ten fale ludzkie płynęły ze wszystkich stron ku ulicy Zamkowej, a stamtąd ku Królewskiemu młynowi do domu Bobiatyńskiego, by tam raz jeszcze rzucić okiem na martwe rysy wieszcza i wyryć je na długo w pamięci i sercu. Pobożna ta pielgrzymka do mieszkania przedwcześnie zgasłego wieszcza trwała przez całą środę, pomimo słotnej jesiennej pogody. O godzinie 5-tej liczniejsze tłumy poczęły zalegać ulicę, wiodącą do młyna Królewskiego i przyległy mu plac katedralny. Przed wyprowadzeniem zwłok z mieszkania, prezes i członkowie Towarzystwa archeologicznego, oraz redakcji „Kurjera Wileńskiego“ i inni literaci i przyjaciele zmarłego, w przytomności osierociałej wdowy, sióstr i dwóch nieletnich synków, włożyli na skronie litewskiego wieszcza wieniec z wawrzynu, jako zewnętrzną oznakę czci i uwielbienia, którego kraj cały nieraz dawał dowody. O pół do siódmej przy odgłosie żałobnych psalmów, smutny orszak, składający się ze świeckiego i zakonnego duchowieństwa, z uczącej się młodzieży i z kilkunastu tysięcznych tłumów ludu, przeprowadził drogie zwłoki do arki prezbiterjalnego kościoła św. Jana i złożył je na katafałku, przybranym w kwiaty podzwrotnikowe i festony z liści dębowych, śród jarzącego oświetlenia. Wczoraj, t. j. we czwartek, od 7-mej godziny rannej rozpoczęły się ciche msze żałobne, przerywane cichemi westchnieniami ludu, który się modlił za duszę swojego ulubieńca, a potem konwenta zakonu O.O Bernardynów i Franciszkanów śpiewały wigilje. O godzinie 10-tej tłumy napełniły ogromny kościół św. Jana. O pół do 11-tej przybył w towarzystwie duchowieństwa świeckiego dostojny pasterz ks. biskup Adam Stanisław Krasiński, który, pomimo słabości i strudzenia po objeździe swojej diecezji, odprawił mszę wielką żałobną, podczas której amatorowie łącznie z muzyką katedralną odegrali rekwjalną mszę Kozłowskiego z towarzyszeniem śpiewów na głosy

kobiece i męzkie. Zabrzmiało ponure, szczytne requiescat in pace! Członkowie Towarzystwa archeologicznego i redakcji Kurjera Wileńskiego, młodzież uniwersytecka i gimnazjalna, przyjaciele i znajomi zmarłego, wynieśli na barkach swoich trumnę z drogiemi szczątkami, i nieśli ją zmieniając się aż do miejsca spoczynku. Na czele żałobnego pochodu postępował z krzyżem w ręku ks. kanonik Kozłowski, rektor seminarjum rzymsko-katolickiego, który też spełnił nad grobem ostatnią chrześcijańską posługę. Towarzyszyli mu kapłani świeccy, alumni seminarjum i cztery konwenta zakonne, oraz uczniowie instytutu, gimnazjum, progimnazjum i wychowańcy Towarzystwa Dobroczynności, cechy miejskie i bractwa z chorągwiami. Tuż za trumną szła matka, żona, siostry i dwaj synowie zmarłego i przyjaciele. Trumnę otoczyli z rozwiniętemi chorągwiami cechowi miasta Wilna oraz członkowie bractw rozmaitych kościoła św. Jana i św. Ducha. Potok ludności wszelkich wyznań z całego grodu, z najbliższych miast i okolic, długą wstęgą potoczył się po ulicach za trumną. Nareszcie, gdy cały orszak pogrzebowy poważny i milczący stanął na cmentarzu Rossa, tam obok pomnika, wznoszącego się nad grobem zasłużonego Adama Jochera, po lewej stronie od wejścia, skupiły się najliczniejsze tłumy, bo w tem miejscu wykopana została mogiła, w której miał spocząć ukochany wioskowy lirnik litewski. Nim ziemia tysiącem drżących rąk rzucona zakryła na zawsze ukochane oblicze zmarłego, nad otwartą mogiłą przemówił Wincenty Korotyński".

Życie ma swe prawa: wciąż naprzód dąży, nigdy, na chwilę nie spocznie, zwłaszcza zaś życie dziennika, który jest niejako życia powszedniego kwintesencją, gdzie w kilku wierszach streszczone znajdziesz sprawy całego świata, gdzie godziny tyle znaczą co dzień, dzień tyle co miesiąc. Nie było na ogromnym obszarze Litwy i Polski człowieka, któryby godnie objął po zmarłym jego śpiewną lirę — dziennik na miejsce zgasłego feljetonisty znaleźć musiał następcę, jakoż znalazł go w osobie Mścisława Kamińskiego, który zaraz od następnego numeru objął dział „przeglądów miejscowych". Umarłym należy się wspomnienie, jakoż od tego nowy współpracownik zaczyna, kładąc na wstępie pierwszego „Przeglądu" urywek z poezji Syrokomli, dziwnie odpowiadający chwili:

„I tak opiekun błoni ojczystych
Uleciał w auzońskie strony".

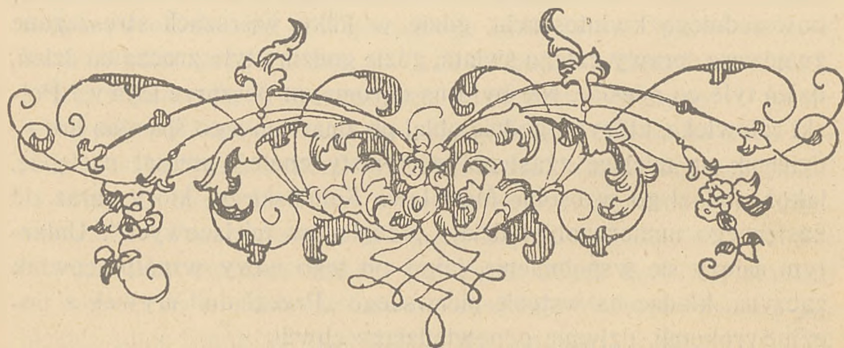
Z kolei raz jeszcze przebiega dni żałoby i pogrzeb wioskowego lirnika, w opisie tym jeden szczegół drobny dziwnie za serce nas chwyta:

„Nie możemy tu pominąć zwyczajnego w każdym innym razie zjawiska, które miało miejsce przy wynoszeniu zwłok na wóz pogrzebowy. Wysoko na widnokręgu w stronie północnej rozległo się tęskne gruchanie żurawi i ledwo tysiączne oczy w tamtą stronę się zwróciły, aliści ujrzeliśmy stado tych synów południa, wracające w ciepłe kraje. Nie jednemu podoba się to może nazwać ślepym trafem i nic więcej, lecz gawiedź, „która wierzy głęboko“, z dziwnem jakoś współczuciem poglądała na to zjawisko...“



Zestawiliśmy oto kilka urywków z prac dziennikarskich Syrokomli, które, aczkolwiek traktowane ubocznie, w ostatnich zwłaszcza czasach, pochłaniały mu dużo czasu. Jest to materjał wielce cenny dla poznania zarówno epoki, jako też samego autora, jego usposobienia, zapatrywań, temperamentu, przekonań. Pochlebiamy sobie, że wybierając skrzętnie niniejsze wypisy, dorzuciliśmy kilka pobieżnych może, lecz charakterystycznych rysów do duchowego portretu poety.

Jan Obst.



Z HUMORYSTYKI SYROKOMLOWEJ.

W N-rze 201 „Kurj. Litewskiego“, w dniu żałobnej rocznicy zgonu autora Dęboroga, p. Władysław Korotyński, posiadacz istnych skarbów rękopiśmiennych zpuścizny Syrokomlowej, ogłosił taki również utwór z pośród opuszczonych, w wydaniu z r. 1872, wierszy:

„Noc... las głęboki... strumień i ognisko,
Co ci wykreślił penzlem pan Wincenty,
Niech ci przypomni kraj Litwy, kraj święty,
Gdy obcych ludów masz zwiedzić siedlisko.
Spójrz na ten księżyc! Na promieniach jego
Mistrzowską ręką skreślonych blejwasem
Z cudnej zieleni niech twe myśli czasem
W świętą krainę twych ojców pobiegą“.

Rzecz tę p. W. K. zatytułował „Do Juljana D...“ — i wiernie podznaczył: 1 marca 1858. Wilno.

Ale oryginału, nawet całości samej wiersza, K. nie zna — zacytował go z odpisu.

Album, zawierające wiersz, miałem jeszcze przed 15-tu laty w rękach, dzięki uprzejmości p. Marji z Toplickich Jundziłłowej; rysynki z albumu, przez panią J. wypróte, mieliśmy na 1-szej wileńskiej wystawie retrospektywnej sztuki, jako to: rysunki Cypr. Norwida, Jul. Kossaka, Ant. Zaleskiego, Wł. Majeranowskiego, Winc. Smokowskiego, akwarele Jana Zienkiewicza, Tad. Goreckiego i... Wincentego Dmochowskiego, tyle umiłowanego i często wspominanego wszędzie przez Syrokomlę artystę-malarza szkoły Rustenowskiej. Krajobraz tego ostatniego, akwarelowo, z wielką wykonany wytwornością i nastrojem, natchnął poetę do stworzenia sympatycznego wierszyka, położonego na czele albumu. Osobą, która umiała sobie zjednać życzliwość tylu autorów znakomitych

dla jej pamiątkowej księgi, był światły i poważny ziemianin z Inflant, z Dłużniewa, ś. p. Juljan Dłużniewski, wuj p. M. Jundziłłowej. Po Syrokomli z poetów figurują tu tacy. A. Ed. Odyniec, Cypr. Norwid. J. I. Kraszewski, Kar. Sienkiewicz, Lucj. Siemieński, z uczonych Wacław Hanka, Mik. Malinowski, Jul. Bartoszewicz, El. Ziemięcka, Józ. Kremer, Ad. Jocher, K. Wł. Wojcicki, Ambr. Grabowski, Józ. Łepkowski i t. d. Zwiedzał tedy Dłużniewski siedliska nie tylko obcych ludów...

W odpisie p. Wł. Korotyńskiego brakuje utworowi Syrokomli czterowierszowego zakończenia, w 7-mym zaś wierszu zmienione są 2 wyrazy.

Odpiszmy z oryginału:

„Z cudzej ziemicy niech twe myśli czasem
W świętą krainę twych ojców pobiegą!
A gdy myśl twoja nad Litwą przelata,
Wspomnij, że w liczbie Palemońskich dzieci
Jest sobie człeczek co gawędy kleci
Który cię ceni i kocha jak brata.

Wersja „Z cudnej zieleni" choćby dlatego jest niemożliwa, że w obrazku Dmochowskiego nie odnajdziesz ani źdźbła zieleni, cały on utrzymany w tonach szafirowych.

Ten wiersz daje mi asumpt do pomówienia troszeczkę o „wybrykach wesołego humoru" Syrokomli, o fraszkach jego ulotnych. Ot! tenże sam szafirowy krajobraz Dmochowskiego z księżycem i bleiwasem dał powód do konceptów rymowanych Syrokomli i Andriolemu. Opowiadał mi ś. p. Wilhelm Grabowski, jeden z licznych druhów wileńskich Kondratowicza, który mnóstwo anegdot z życia, stosunków i twórczości jego opowiadał rad ludziom do końca swego zdziwaczałego żywota. Owóż Andrioli narysował dla Syrokomli karykaturę tego akwarelowego obrazka z albumu Dłużniewskiego, sparodjował księżyc i t. d. Syrokomla pochwycił pióro i nakreślił:

„Wyniósł się księżyc nad lasem,
Spojrzał w wodne odmęty...
O, Dmochowski Wincenty,
Daj swój pędzel z blejwasem".

Wtedy Andrioli znowu coś naszkicował kredką i podpisał:

Skrył się księżyc za lasem,
Rzucił w wodne odmęty,
Bo Dmochowski Wincenty
Wziął swój pędzel z blejwasem“.

Lubił Dmochowski efekty nocne z księżycem — i w widokach swych często ich nadużywał. Można to oglądać na obrazkach jego olejnych, pozostałych po ś. p. Kondratowiczu u syna jego p. Władysława oraz w innych miejscach.

Ludzie starsi na Litwie zapamiętali może z pół kopy żartów wierszowanych i ze stosunków wileńskich, przypisywanych autorstwu L. Kondratowicza bezzasadnie. Zwłaszcza Laskarys Jerzy i Gzowski Stanisław, podszywali się w tych „kawałkach i kawałach“ pod Syrokomlę. „Testament“ osławiony rzekomo „Syrokomli“ był autorstwa, jak się domyślał ś. p. Wincenty Korotyński, właśnie Laskarysa; Grabowski Wilhelm opowiadał niżejpodpisanemu, że stanowczo napisał rzecz tę nikt inny, jeno Gzowski. Doskonale sobie przypominam — mówił mi Grabowski — jak Paszkowski w ostrych słowach wyrażał gniew swój na Gzowskiego za napisanie i rozpowszechnianie „Testamentu Syrokomli“. Dziwnie tylko, że autorstwu Syrokomli wierzył Titius, wierzy, zdaje się, dotąd i syn poety... Podobnego paszkwilu, pełnego szyderstw z osób, których Syrokomla tak poważał i kochał, jak Gust. Tyszkiewicza, Ad. Kirkora, Kaz. Paszkowskiego — poeta nie mógł napisać, nie potrafiłby.

Należy więc rzecz omawiana do apokryfów. Mówił mi ś. p. W. Grabowski, że np. Syrokomli zawsze przypisywano następny czterowiersz z aluzjami do pięknej Gabrjeli Puzyniny, znanej i bardzo zacnej autorki słabiutkich sztuk scenicznych:

„Niezgadnie nigdy w świecie mądrość żadna,
Czy Księżna G. P. „bogata czy ładna“ *),
Lecz słynie głupstwem przed obliczem świata
I Hrabia G. P. i jego Herbata“...

Na kryptonym otoczonego dziś szczerym szacunkiem, żyjącego „autora“ Herbaty, zarzucamy zasłonę. Tymczasem do autorstwa tego wybryku przyznał się Grabowskiemu otwarcie — Jerzy Laskarys.

---

*) „Bogata czy ładna“? — tytuł sztuki Puzyniny. *Przyp. autora.*

Zahaczamy więc okolicznościowo i o teatr. Niedawno zmarły ś. p. Wincenty Ślendziński znał dobrze i Syrokomlę i Laskarysa; ale Kondratowiczowi stanowczo przypisywał dwa zapamiętane przez się, niedrukowane dotąd nigdzie wiersze. Pierwszy jest, zdaniem mojem, pióra Laskarysa, drugi niechybnie Syrokomli. Zapisałem, jak Ślendziński dyktował poniższą trawestację znanej piosnki Aleksandra Chodźki — „Staś mi z jarmarku przywiózł pierścionek...“ tak wygląda:

„Julek pigułeg przywiózł z apteki,
Przyniósł mi wonny rumianek,
I rzekł: — Ach, pozwól, abym na wieki
Był wierny Tobie Kochanek! —
Przychodzi Wacio, mówi za wiele
Arkusz gazety u nóg mych ściele,
Gdzie zmieścił wszystkie pochwały.
Przychodzi Kazio, uśmiech ma hardy...
Lubię ten uśmiech zuchwalca,
Groźnie poprawił swe bakenbardy
I wskazał pierścień u palca.
— Julku, skuteczne twoje rumianki;
Waciu, Ty piszesz tak ładnie;
Kaziu, z pierścieniem, przyjdź do kochanki,
Gdy mrok na ziemię zapadnie“.

Wiersz miał być napisany w r. 1859. Julek — to nikt inny, jeno czcigodny ś. p. p. Konsyljarz „Tycius“; Wacio — oczywiście Przybylski, członek redakcji „Kurjera Wileńskiego“; Kazio — najprawdopodobniej Paszkowski, również członek red. „Kurjera“, wiceprezes Izby cywilnej.

W tymże czasie powstał wierszyk żartobliwy Syrokomli, napisany z powodu występów Wandy Leszczyńskiej.

„Na gruzach Herculamu wznosi się gmach nowy,
Podpiera go, jak może, kołek leszczynowy.
Niedźwiedź — król lasów żmudzkich smutno gra na gęśli...
Bo—już wszystkie orzechy z leszczyny otrzęśli“.

Jakąś legendową niby Perkunasa, świątynię gotycką w Kownie, nad Niemnem, przerobiono na teatr, w którym też gościła trupa

wileńska pod dyrekcją Kazimierza Szlagiera, nazwanego przez Syrokomlę „niedźwiedziem“; podporą sceny, snadź wyczerpaną częstemi występy, była oczywiście Leszczyńska. Syrokomla lubił wesoło się zabawiać w gronie aktorów, z których sercu jego najbliższy był zacny skądinąd, ale który poetę do kufelków nakłaniał niebacznie—Bolesław Nowiński, świetny odtwórca Kaspra Karlińskiego. Z muzykiem i humorystą Faustynem Łopatyńskim, lubił Syrokomla również niekiedy pohulać. Odwiedzali bawarje, z których np. znaną była na Antokolu i ogólnie uczęszczaną Bohla i Stillera. Lubił w niej przesiadywać „czarny charakter“ sceny — Leser, zdolny, ale wykolejony życiowo aktor. Pracował niegdyś u zegarmistrza, potem był przedsiębiorcą — prestidiżytatorem i t. d. Lesser, będąc aktorem, naprawiał kolegom i niektórym literatom zegarki; raz otrzymał liścik od Syrokomli, zaadresowany: „Do P. Lessera na piwie Stillera co siedzi na kanapie i w nos się drapie“... W liście wierszem dowcipnym zagroził, że jeśli asan nie przyślesz mi zreparowanego zegarka, to będziesz sam u mnie za drzwiami wybijać godziny. Syn młody Lessera był fryzjerem u Aubry’ego, do którego, jak wilnianie wiedzą dobrze, Syrokomla tak znowu wesoło się zwracał:

„Panie Aubry, bądź tak dobry,
Ostrzyż główkę za złotówkę“.

Żartami rymowanemi sypać umiał Kondratowicz, jak z rękawa.

Żartował sobie z poczciwej wówczas litwomanji ex-studenta Daukszy, co to dowodził siostrze poety

„...Elżusi z erudycją sutą,
Co tam Kiejstut sam na sam rozprawiał z Birutą,
Dowiódł, że pili mleko, potem mocny ałus,
Podjedli wereszczaki, a potem był całus.
A potem... potem... potem usiedli przy drzewie,
A co tam było dalej, to i Dauksza nie wie...“

I dalej:

„...Że Wołonczewski stworzy ich litewski światek
I że dawni litwini chodzili bez gatek
I że owa Pojata, co w historji słynie,
Trzy pudowe obręcze miała w krynolinie.
A na mocy tych danych swe wnioski posplata,
Że Litwa była jeszcze przed stworzeniem świata“.

Oryginał tego wiersza (list prywatny) posiadam.

Tak swawoliła muza Syrokomli.

Bo przecie pierwsze wybryki wesołego humoru nieswieskiego niegdyś kancelisty, rymowane zabawki z Kątkowskim i Rajmundem Baranowskim, były znakomitym impulsem do rozwinięcia się u Kondratowicza poważnych zdolności twórczych genjalnego później autora Gawęd i liryków. Szydził sobie czasem Syrokomla co prawda i „z kardynałów święconej pomady", ale jakże poczciwie przedstawił—choć w jowialny sposób—takiego oto kapłana z sąsiedztwa, w liście do kapitana Bojanowskiego:

„...Nic nie jest bez ale;
Nawet i w Rudominie czegoś nie pochwalę;
Bo jak słusznie Jan Święty pisze Złotousty:
„Tam najlepsza parafja, gdzie jest proboszcz tłusty" —
A u Was jakaż postać chuda, zadumana,
Toć wstyd ludziom pokazać takiego plebana,
Wybladł, czytając książki — a jemu to na co?
Czy za to podziękują? czy za to zapłacą?
Że krzewi wstrzemięźliwość swą kapłańską władzą,
To jeszcze do odkupu prośbę nań podadzą.
Męczy dzieci na książkach, szczepi obyczaje
I dobry organista dziś się w to nie wdaje.
Co jego ma obchodzić jakieś chłopskie dziecię?
Niby to preferansa niema już na świecie?
Niby to po obiedzie, kiedy rada dusza,
Nie można w cztery tempa uciąć Morfeusza?"

Ten wiersz charakterystyczny, drukowany w t. X. Poezji Kondratowicza, miał Winc. Korotyński, udzielony sobie przez ś. p. Feliksa Zawadzkiego, ojca dzisiejszego wydawcy „Litwy i Rusi".

H u m o r S y r o k o m l i — wdzięczny, niewyzyskany temat do obszernej rozprawy. Pomógłby przecie wczuć się w psychiczną i obyczajową stronę twórczości autora Naśladowań Baki, nagrobka szlachcicowi, Serca i rozumu, Świata i owsianki, pogrzebu poety i tylu innych uciesznych (przez łzy...) sarkazmem zaprawionych, szczerotą licencji tchnących utworów Syrokomli.

L. Uziębło.

NIEZNANY WIERSZ SYROKOMLI.

(Pełen humoru wierszowany list ten z prośbą o pożyczenie brzytwy, napisany przez Wł. Syrokomlę 23 Lipca 1860 r. w Birsztanach, zaadresowany do prefekta Lidzkiego Niesłuchomskiego, bawiącego również tam na kuracji).

Parnaski towarzyszu — śpiewaku Prypeci
Nim Nasta na kominie ogień roznieci
Nim na szklankę herbaty żona Cię zawoła
Przetrzyj oczy i czytaj; oto Epistoła:
Piotr Wielki, co w pamięci wieków przeszłych żyje
W rozmaite Ministerstwa opatrzył Rosyę.
Jest Justycya służąca bogini Temidzie;
Prokurorów i strapczych za nią szereg idzie,
Co sądzą, jak ów opiekun za dawniejsze daty
Jezioro na pastwisko, a baby w sołdaty.
Są wnutrennyje dzieła — przybytek ochrończy
Poczyna się ministrem, a kluczwójtem kończy.
Sprawiedliwość tam siedzi w szklance pończu na dnie;
Czy kto człeka zabije, czy konia ukradnie —
Wyjdzie gładko — kubona dawszy o swoim czasie;
Jeżeli z Assesorem i Sprawnikiem zna się.
Jest Minister Finansów z Kazionną Pałatą,

Który, pożarty kruszec — trawi assygnatą
I raport każdoroczny drukuje po krótce
Ile miljonów rubli zarobił na wódce.
Jast Minister Imuszczestw — oto wielkie słowo,
Co wprzęga w jego rydwan całą włość skarbową.
Jedzie na chudej szkapie, a jej imię nędza,
Tnie kłusa na starszynie, Okrużnym popędza;
A chcąc by wyszli z lasu Litwini ździczeni
Stare towarne sosny chowa do kieszeni.
Tak Piotr Wielki stworzywszy wielkie potentaty
Przypomniał, że potrzeba Ministra Oświaty;
Że bez liter, azbuki, będzie w kraju defekt,
Że potrzebny: Kurator, Dyrektor i Prefekt.
Więc rzekł: „Moskwo Tatarska ucz się po łacinie,
„Daję nauczycielom — worotniki sine,
Lecz gdy przyszło pomyśleć o słusznej zapłacie,
Nie starczyło assygnat ku chłopów oświacie.
Więc rzekł mędrcom: „gdy Panem Islamizmu będę
„Oddam wam górę Parnas w wieczystą arendę.
„Jak Strapczy, lub Okrużny, pod moją opieką
„Będziecie z muz dziewięciu doić tłuste mleko.
„Lecz tymczasem nim z Turkiem wojna się rozbudzi
„Wy kapłani Minerwy zostaniecie chudzi —
„Bo innym Ministerstwom pomimo mej woli
„Musiałem oddać brzytwę co bez mydła goli.
„Więc czekając na waszej uczonej katedrze
„Zanim Moskwa z bagnetem na Parnas się wedrze
„Nie mając za co chleba posypywać solą
„Patrzcie jak się po innych Ministerstwach golą“.
Patrz jak Prezes pałaty z postacią ponurą
Goli brodę klijenta zarazem ze skórą.
Patrz jak w ziemskim sądzie sprawnik jakby Jowisz
Chociaż go na uczynku golenia nie złowisz
Skrobie skórę klijenta — co próżen pocieszeń

Chociażby chciał ocalić wypróżnioną kieszeń,
Lecz go dalej z brzytwami napada tłum dziki
Z jednej strony sekretarz, a z drugiej piszczyki.
Tak w przybytku Temidy straciwszy ostatki,
Wychodzi ogolony jakby z łona matki.
Teraz szerszy horyzont — kiedy wzrok ogarnie
Patrz po szerokim kraju jakie są golarnie
Niech patrzy i podziwia cała Europa.
Prezes goli okrużnych, a okrużny chłopa.
Gubernator Sprawnika goli strychem grackim
Aż się cała historya kończy na dziesiatskim.
My tylko ubodzy gaże z gór parnaskich bierzem
Z wychudłemi twarzami i sinym kołnierzem.
Choć komu jaki urząd popiastować przyjdzie
Jesteś archeologiem czy prefektem w Lidzie.
Wydał wyrok Piotr Wielki, a potem Apollo:
Niech zwolennicy muzy sami siebie golą,
Bo dla dobra oświaty na przestrzeni Litwy
Nie starczyło funduszów na mydło i brzytwy.
Więc golmy sami siebie w oświeconej wspólce.
Prefekcie! Wszak masz brzytwy i mydło w szkatułce,
A ja ujrzałem w lustrze powróciwszy z wanien
Że z niegoloną brodą trudno iść do panien.
Pomóż zacny prefekcie, pomóż w trudnej chwili,
Przez wdzięczność cały Parnas głowę Ci uchyli,
Podziękuje Ci Szekspir, Mickiewicz i Gogol.
Pożycz mi twej brzytwy lub mi brodę ogol.



SILVA RERUM.

Próba illustracyj Gawęd.

Zadaniem wydawnictwa naszego — jak to nieraz zaznaczaliśmy—nietylko służyć czytelnikom w miarę sił i możności zdrowym materjałem literackim i artystycznym, pragniemy skupiać koło pisma naszego siły miejscowe, a zwłaszcza też wyrobić nowe zastępy pracowników na niwie ojczystej sztuki i wiedzy. Z wielkiem zaciekawieniem dowiedzieliśmy się, że młodziutka, lecz bardzo obiecująca artystka nasza, panna W. Flerówna, powzięła projekt zilustrowania niektórych, najpopularniejszych „Gawęd“ Syrokomli. Panna F. kształciła się początkowo pod kierunkiem ojca swego, również artysty-malarza, następnie w Petersburgu pod kierunkiem prof. Tad. Dmochowskiego, znanego czytelnikom naszym z prac heraldycznych i ornamentacyjnych, któremu zawdzięcza przedewszystkiem sumienny rysunek, obecnie zaś w Akademji sztuk pięknych u prof. Samokisza. Dotychczasowe prace młodej artystki zdradzają wielki talent, pełne są życia i wyborne zwłaszcza w ruchu. Z illustracji do „Gawęd“, wykonanych piórkiem, wybraliśmy trzy najbardziej charakterystyczne, których reprodukcje zamieszczamy. A więc przedewszystkiem „Trędzlowe“; artystka wybrała moment najbardziej dramatyczny, kiedy to stary Bardysz

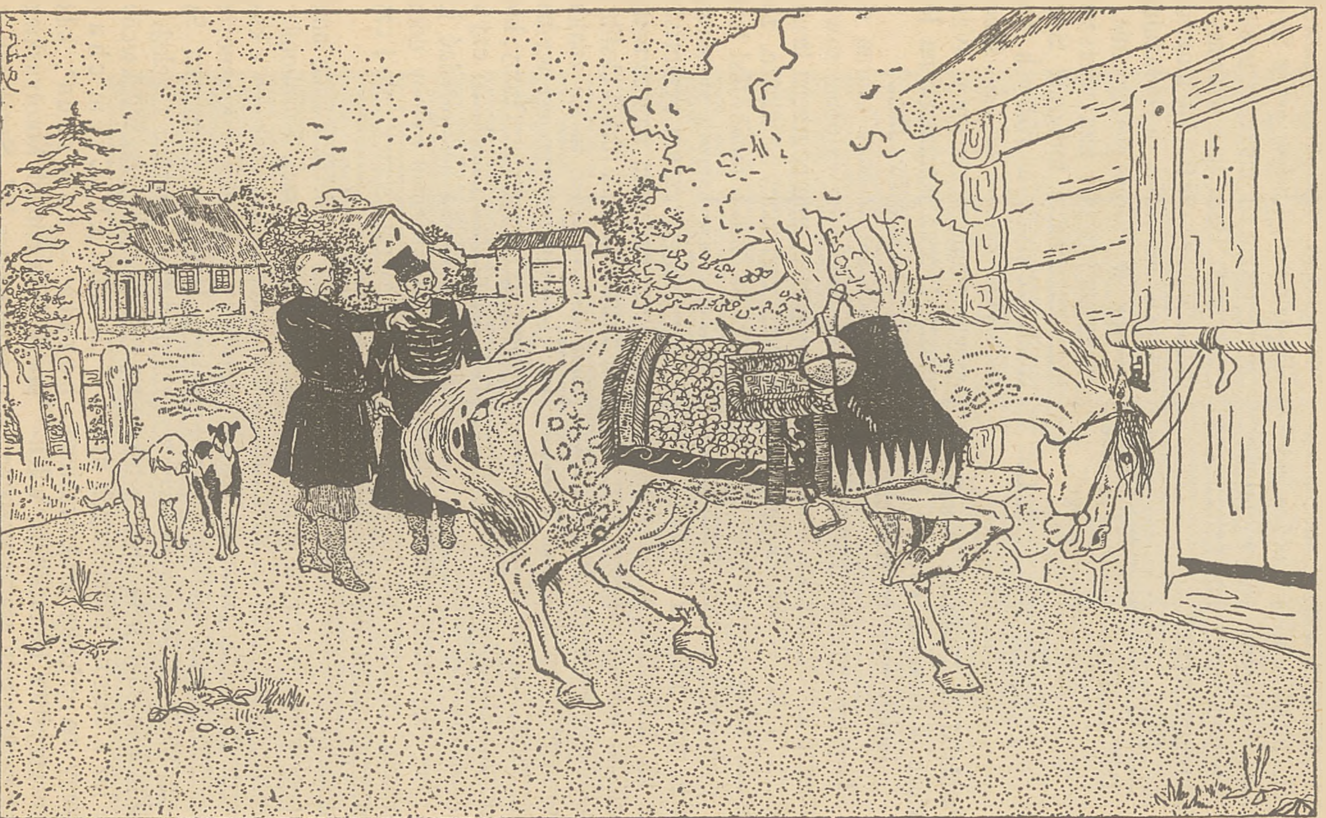
„...Śmiało wziął na cel
Łeb rumaka — i w łeb sam
Palnął kulką o trzy kroki...“

Moment ten schwycony udatnie, koń dobry jest w ruchu, typowe są dwie postacie hardego szlachcica na zagrodzie i dworaka co to

Pan koniuszy był jak wosk
A pan Bardysz jako stal.“

Dalszy plan: dworek pod słomianą strzechą, stare wrota, dziedzińczyk folwarczny, wszystko to jakkolwiek szkicowe, ogromnie swojskie, serdecznie odczute.

Innego zgoła rodzaju, lecz niemniej swojski jest „Księgarz uliczny“. Typowy jest ten zaułek wileński, ten „handel“ z wiszącemi wiankami cebuli, i postacie w strojach z przed lat 50-ciu. Dobrze uchwycony kontrast między bogatą karetą i zgarbioną postacią siwobrodego żyda—„nestora księgarzy“, w którym poznajemy wielce popularnego niegdyś Kinkulkina.



Wacława Floerówna „Trędzlowe“.

Trzecia illustracja do „Pocztyljona“, wykazuje, jak prostymi środkami stworzyć można nastrój: nieskończone śnieżne pole, jeździec samotny, słup wiorstowy, a tuż pod sumiotem śniegu coś złowrogo czernieje

„...to była... Ach! bracie
Daj czarkę... dokończyć nie
mogę“.

J. O.

Pamiątki po Ludwiku Kondratowiczu w muzeum Towarz. Przyjaciół Nauk w Wilnie.

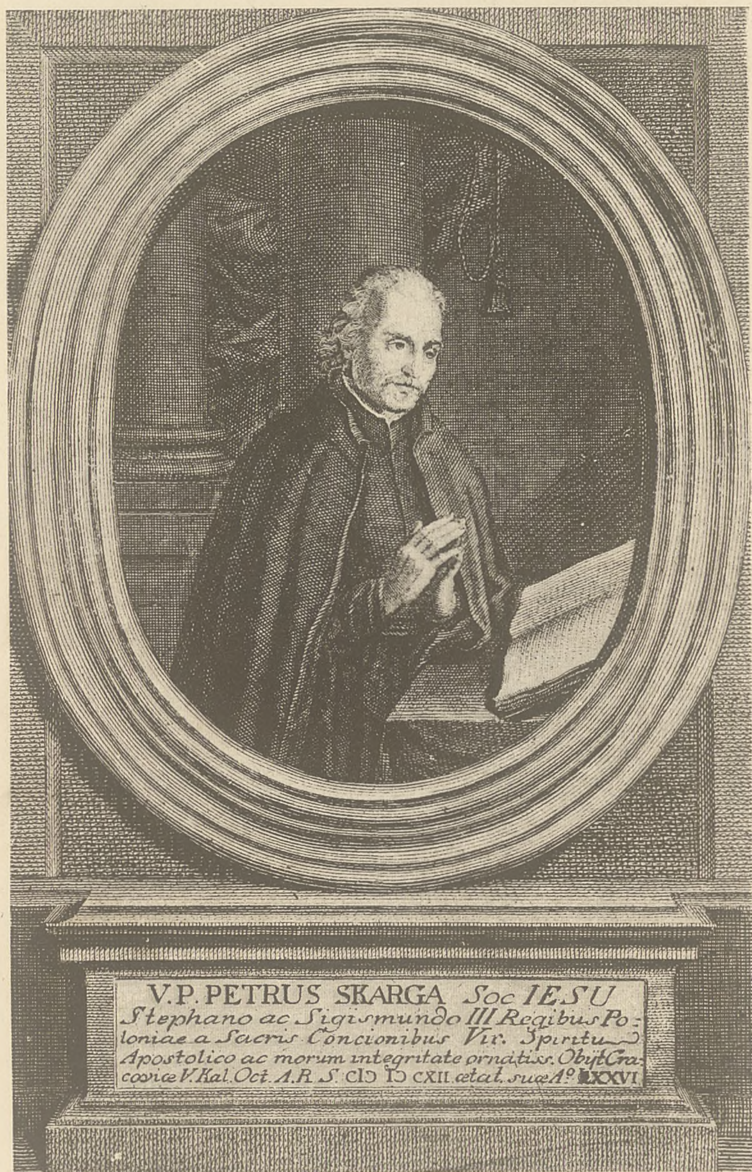
Dopiero 50 lat upływa od śmierci ś. p. Ludwika Kondratowicza i w Wilnie dotąd żyje jeszcze sporo osób, którzy go znali i obcowali z nim. Mieszka tu także syn poety. Zdawałoby się, że nic łatwiejszego, jak zgromadzić w jednem miejscu moc pamiątek po naszym „lirniku wioskowym“. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, pomimo wszelkich starań, zdołało zebrać tylko bardzo nieznaczną ilość.

Jak nie wiele Towarzystwo posiada pamiątek po L. Kondratowiczu, można wnosić z tego, iż mieszczą się one wszystkie w jednej gablocie. Są tu tedy ofiarowane przez syna L. Kondratowicza dwa jego, pisane po rosyjsku, świadectwa szkolne z 2-ej i 3-ciej klasy szkoły powiatowej w Nieświeżu z lat 1834, 1835, a także już z czasów późniejszych dyplomy na członka krakowskiego Towarzystwa literackiego, wileńskiego komitetu statystycznego i wileńskiego muzeum starożytności, założonego przez Eustachego hr. Tyszkiewicza. Znajduje się tu również przysłany niedawno z Warszawy przez p. Korotyńskiego rękopis (autograf) gawędy „Trędzlowe“. Listów przez Syrokomlę pisanych muzeum posiada tylko trzy. Poza tem widzimy w gablocie parę portretów litografowanych, litografję, wyobrażającą dworek w Borejkowszczyźnie, z drukowanym pod nim wierszem, oraz kilkanaście fotografji Syrokomli, zdjętych w różnych epokach jego życia i na łożu śmiertelnem, domu, w którym w Wilnie mieszkał, oraz pomników na Rosie i w kościele św. Jana.

Rzuca się w oczy czarną obwódką klepsydra żałobna, zawiadamiająca o dniu pogrzebu lirnika i kwiat zasuszony z wieńca, złożonego na jego trumnie. Jest jeszcze w gablocie książka Syrokomli z charakterystycznym ekslibrisem polskim, naklejonym na wewnętrznej stronie okładki (drugi ekslibris francuski, również tu się znajduje). U spodu petitem jest wydrukowane „Ostrzeżenie. Osoby, którym się użycza książki do czytania, proszone są nie udzielać ich innym. Zbytecznem byłoby dodawać, że zwrot książek cało i czysto jest pożądany“.

Zwraca na siebie uwagę umowa, zawarta przez Syrokomlę i Wincentego Korotyńskiego, z księgarnią wydawniczą Krasnosielskiego. Umowa pisana ręką Syrokomli budzi smutne refleksje o wyzysku poety przez wydawców.

„Rekopis p. t. „C z e m c h a t a b o g a t a — t e m r a d a“, kilka poezji Wincentego Korotyńskiego z przedmową Wł. Syrokomli, ustępuje się księgarni wileńskiej Krasnosielskiego na jedną edycję, ma zawierać wierszy tysiąc. Ho-



Portret Skargi podług starego sztychu I. F. Mylius'a.

Ze zbiorów p. L. Uzięcbły.

norarjum umówione rubli sr. trzydzieści, na konto którego przyjęto rs. 2. Wł. Syrokomla
W. Korotyński
7 paźdz. 1856 r.

Mowa pogrzebowa prof. Berkmana.

We współczesnem sprawozdaniu „Kurjera Wileńskiego“ z pogrzebu Syrokomli wspomniano o



Wacława Floerówna. „Księgarz uliczny“.

Oto i wszystko, co muzeum posiada z pamiątek po Syrokomli. Nie traci ono jednak nadziei, że społeczeństwo nasze dopomoże mu w uzupełnieniu zbioru.

Dr. Wł. Zahorski.

trzech przemowach nad grobem wygłoszonych przez W. Korotyńskiego, Snarskiego, oraz Daukszy.

W zbiorach d-ra Zahorskiego znajduje się atoli ciekawy dokument z adnotacją, „Mowa profe-

sora Tomasza Berkmana na pogrzebie Syrokomli na Rossie.

Czy mowa ta, napisana być może poprzednio, dla jakichkolwiek bądź przyczyn nie została wygłoszona, czy też dziwnym sposobem pominięta została przez ówczesnego sprawozdawcę „Kurjera“ — nie wiemy. Przytaczamy ją dosłownie:

„I znów stajemy nad otwartym dziś grobem, znów nowa mogiła powstanie, aby zakryć drogie nam wieszcza szczątki, znów łza miłości, ale razem łza ciężkiej żałoby i bólu płynie z naszej źrenicy. Litwo! Litwo! Ty matko boleści, piękna żałobą, potężna miłością, a święta i stokroć święta cierpieniem. Litwo! Ty siostro moja, płacząca dziś nad grobem drogiego Ci syna, zdobiąca grób ten w najpiękniejsze kwiaty bratnich łez i miłości, pozwól, abym i ja na ten grób święty poniósł co mam najdroższego w ofierze. Oto grudka ziemi, którąm wyniósł z nad Wisły, żegnając ojczyste swe strony, ten to skarb, tę świętą relikwję niosę Ci, bracie, w ofierze. Niech ta ziemia, mieszając się z rodzinną Twą ziemią i wspólnie z nią pokrywając twe zwłoki, będzie przedstawicielką tego bratniego uczucia, tej miłości i tych łez żałoby, które popłyną nad Wisłą, Wartą, Pilicą i Bugiem, które popłyną, gdzie serca i umysły poczciwe, również czuć i myśleć poczciwie umieją, które popłyną tam, gdzie polską przemawiają mową.

Zamiast wić wieniec wawrzynu, sypiemy swym braciom mogiły, a sypiemy je ochotnie, bo te mogiły tak gęsto usiane po całej naszej ziemicy, okolone aureolą niepożytej chwały, te mogiły, z których wielka, narodowa epos, zda się wciąż rozbrzmiewa, to są nasze relikwiarze, to drogowskazy naszego żywota, to najtrwalsze pomniki naszej przeszłości, jak i dzisiejszego życia i bytu. Przejdą wieki, miną pokolenia, a Litwa znów tu przywiedzie swe dzieci i na te mogiły z równąż czcią, miłością i szlachetnością wskazywać im będzie.

Pogrążona w żalu żono, dziatki, rodzino! Wy szczególniej synowie zmarłego, dziedzice wielkiej spuścizny, bo drogiego dla nas tu wszystkich imienia, ten grób waszego Ojca, to miłość i cześć narodu, która go okala, jakże wielką zostawią dla was naukę; bo cóż mu to wszystko zjednało? Nie gienjusz, gdyż to dar Nieba, ale że świętą iskrę natchnienia, którą sam Stwórca zapalił mu w piersi, czystą, niepokalaną poniósł aż do grobu, że pieśń jego nigdy nie przebrzmiała fałszywą nutą; i ten wyraz ogółu, to świadectwo narodu, jest najpiękniejszym wieńcem niepożytej chwały, który dziś na grobie naszego wieszcza, naszego najdroższego lirnika składamy“.

Ze wspomnień o Syrokomli.

W r. 1862 byłem z matką na rannej mszy w Ostrobramie. Przy nas stał pan, na którego mi matka moja wskazała, szepnąwszy: „To Syrokomla“. Ciekawie przyglądałem się poecie, którego znałem z poezji, czytywanych mi przez matkę i babkę. Nieco opodal stał jakiś złoty młodzieniec w kraciastych spodniach, aksamitnej w kwiaty kamizelce, ja-

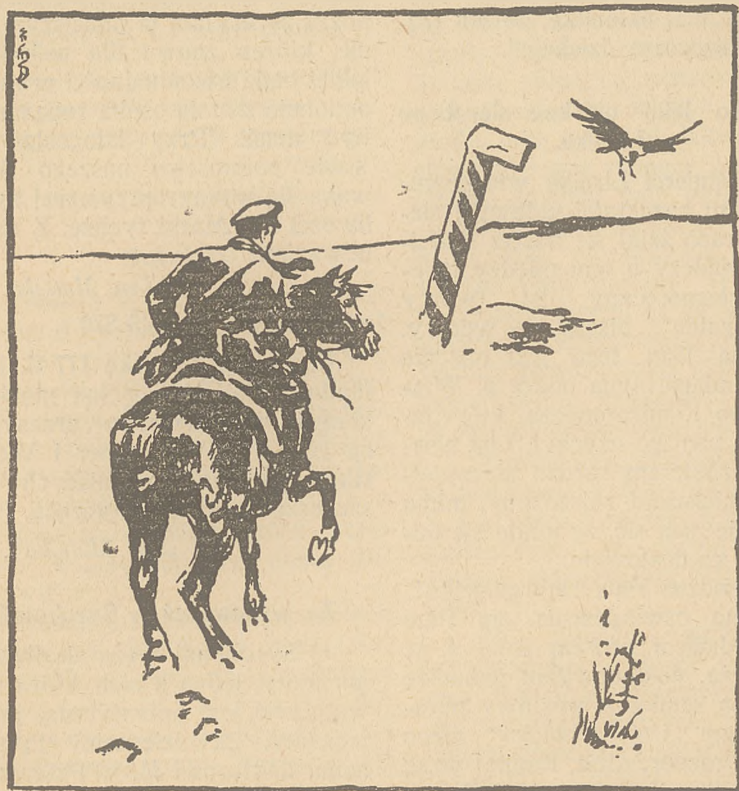
skrawym krawacie i z misternym czubem nad czołem. Zachowanie się tego panicza było niewłaściwe, kręcił się na miejscu, przyglądał się kobietom i starał się zwrócić na siebie uwagę. Tymczasem msza się skończyła i publiczność zaczęła wychodzić. Złoty młodzieniec przeciskając się w niegrzeczny sposób trącił Syrokomlę, który chmurnie nań spojrzawszy rzekł dość głośno:

„Każden dudek, ma swój czubek“.

Dr. Wł. Zahorski.

List Syrokomli

Syn poety, p. Władysław Kondratowicz, przechowuje jako cenną relikwję list ojca, pisany z Birsztan, gdzie przebywał na kuracji, do żony ś. p. Pauliny Kondratowiczowej, z powodu promocji, jaką otrzymał syn, naówczas uczeń gimnazjum wileńskiego. List pisany ręką poety na zwykłej ćwiartce papieru pocztowego. U góry wytłoczony nagłówek „Władysław Syrokomla“. List bez podpisu i daty, pisany prawdopodobnie w czerwcu 1860 r. Oto brzmienie dosłowne:



Wacława Floerówna. „Pocztyljon“.

„Serdecznie dziękuję Władkowi, że otrzymał promocję — w moich goryczach wiele mi ulżył. Pomów z Sakowiczem *) — jeżeli znajdzie stosownem, to niechby trochę pobrykał po Birsztańskich błoniach. Niech tę kartę Władek zachowa, aby po mojej śmierci miał pamiątkę, że mu Ojciec szczerze dziękuje".

Matejko jako opiekun sierot po Lirniku.

Po śmierci Lirnika wioskowego losem pozostałej wdowy i sierot gorąco zajął się mistrz Matejko. Świadczy o tem między innemi własnoręczny list twórcy „Grunwaldu", pisany do wdowy. Oryginał listu tego jest obecnie w posiadaniu syna poety p. Władysława Kondratowicza, który łaskawie nam go użyczył. List pisany charakterem bardzo nieczytelnym, miejscami zniszczony, mimo to zdaje nam się, że udało się odczytać go dosłownie:

„Wielmożna Pani Dobrodziejko!

Mimo oświadczenia się Pani za wydaniem nowem dzieł ś. p. Jej męża, postanowiłem jednakże zebraną sumką z wystawy obrazu mego „Unja lubelska" nieco inaczej rozporządzić. Kapitał wraz z procentami wynosi 1949 fl. an. C. 23. Z tych zakupione papiery likwidacyjne Królestwa Polskiego w liczbie 12. Wartości nominalnej 1500 R.S. stanowić będą fundusz choć szczupły, lecz pewny Jej dzieci, które po dojściu do pełnoletności odbiorą go w całości. Papiery te dla większej pewności złożone są w depozycie Banku hipotecznego w Krakowie, od jakich procenta bank Krakowski przekazywać ma Warszawskiemu, dokąd Pani dobrodziejka udawać się zechce po odbiór tychże sposobem jej wiadomym. Kwit na depozyt przesyłam w niniejszym liście, któren znowu dla uniknięcia jakiej bądź ewentualności prawdopodobnie z moją osobą związanym być musi. Przy Błogosławieństwie potomstwu naszego Śpiewaka ślę wyrazy przyjaznej życzliwości dla Matki tychże. Z uszanowaniem

Jan Matejko.

w Krakowie d. 25/3 870 r.

Pozostałą gotówkę 177 fl. jako fundusz zaliczkowy na możliwe kiedyś wydawnictwo przesyłam na ręce P.P. Gebethner i Wolffa jako głównie zajmujących się szczerze sprawą tą tyczącą.

Jan Matejko".

*) Sakowicz prof. łaciny i inspektor gimnazjum wileńskiego.

(*Przyp. Red.*)

Ze wspomnień o Syrokomli.

O Syrokomli krążą niezliczone anegdoty, jedną z nich, która niewątpliwie jest autentyczną, przytaczamy. Zawdzięczamy ją zacnemu doktorowi M. w Petersburgu, który tę opowieść słyszał niejednokrotnie od swego przyjaciela ś. p. d-ra Piotrowskiego: Było to w roku 1861, w czasie podróży bodajże do Warszawy. D-r P. przypadkiem poznajomił się z Syrokomlą na którejś stacji... przy kufelku piwa. Rozmowa zawiązała się o przedmiocie najbliżej w danej chwili obchodzącym obydwu podróżnych — o piwie, jego gatunkach, wyrobie. Niebawem

jednak, w miarę rosnącej wzajemnej ufności, przeszli na temat poważniejszy, wypadków, jakich niedawno Warszawa była widownią, o czem cały kraj mówił. Przy pożegnaniu d-r P. poprosił o wierszyk na pamiątkę spotkania. Poeta nie kazał się długo prosić i zręcznie nawiązując do poprzedniej rozmowy, te rzucił słowa:

„Kiedy drożdże idą do góry,
A piwo bije szpuntem —
My to nazywamy prawem natury,
A despotyzm — buntem.

Rukojnie.

Okolice Wilna pełne są wspomnień o Syrokomli. O! bo kochał on tę swoją litewską ojczyznę, starał się poznać każdy jej zakątek, niema drogi, którą nie jeździł, ścieżki, której nie deptał. Każdy kamień, drzewo każde, żeby przemówiło, mogłoby nam o Lirniku opowiedzieć, który wszędzie tu „cząstkę swej duszy zostawił“.

Najlepiej jednak ze wszystkich znany był Syrokomli trakt Oszmiański, opisany niejednokrotnie przez poetę, przy którym leży Borejkowszczyzna. O kilka stajeń od Borejkowszczyzny, nieledwo ręką sięgnąć, tym samym traktem, lecz dalej od Wilna, w stronę Oszmiany, leży miasteczko Rukojnie.

Miasteczko jak miasteczko, tem się tylko różni od pierwszej lepszej wsi, że znacznie większe, ze swym szeregiem drewnianych, ubogich chatek, które na znacznej przestrzeni rozciągnęły się wzdłuż traktu. Ze zdziwieniem śród takiego otoczenia spostrzegamy na samym wstępie niemal, stary, potężny śpichrz murowany. To świadek dawno minionych czasów, dowód wysokiej kultury naszej, szlachetnych usiłowań, to fundacja niezapomnianego Pawła Ksawerego hr. Brzostowskiego, który już w XVIII wieku dobrowolnie oswobodziwszy włościan swych rozległych dóbr Pawłowa, nadał im osobną konstytucję, ustanowił szkoły, podniósł rolnictwo, swoim kosztem założył i uposażył wspaniałe magazyny chlebne na czas głodu, jako też bank włościański, celem niesienia pomocy potrzebującym, słowem całą okolicę postawił na takiej stopie kultury, do jakiej dziś, po upływie 150 lat, bardzo nam daleko. Wdzięczni włościanie wyryli na tablicy marmurowej, wmurowanej w ścianę kaplicy pawłowskiej, napis, charakteryzujący działalność i zasługi tego niepospolitego męża:

„Pawłowi Ksaweremu hr. Brzostowskiemu, Referendarzowi W. X. Lit. panu, a raczej Ojcu swemu litościwemu... na dowód wiekopomnej wdzięczności kamień ten kładą...“

„Na dowód wiekopomnej wdzięczności... Słowa te zgrzytem bolesnym odzywają się w sercu naszem, gdy podczas zwiedzania starego cmentarza w Rukojniach sędziwy przewodnik wskaże nam miejsce wiecznego spoczynku Brzostowskiego. Trzeba znać wybornie tradycję miejscową, aby odnaleźć ten kurhanek z pośród tylu innych, ani śladu krzyża lub napisu. Podobno była tu niegdyś płyta grobowa, skradł ją jakiś Wandal-handlarz starożytności; gdzie jest obecnie, nikt nie wie. Nieco darniny zielonej, przetkanej różnobarwnem kwieciem

polnem— oto jedyny „dowód wiekopomnej wdzięczności“.

Na tym samym cmentarzu, równie zapomniany, opuszczony, zwiedzamy kurhanek Kondratowicza — ojca poety. Ileż to razy na tem samem oto miejscu stał nasz Lirnik wioskowy, rozpamiętując może dni dzieciństwa i młodości, pod strzechą rodzicielską spędzone, szepcąc pacierze za duszę zacnego starca, do którego szczerą miłością synowską był przywiązany.

Kilkaset kroków od starego cmentarza piękna cerkiew zwraca uwagę naszą. Cybulkowate kopuły bizantyńskie, źle do całości przystosowane, jakoteż krzyże sześcioramienne, nadmiernej wielkości, świadczą, że cerkiew ta przerobiona została jak tyle innych z kościoła katolickiego. Istotnie, jeszcze w połowie wieku ubiegłego była to świątynia katolicka. Tu każdej niedzieli i święta modlił się autor „Dęboroga“, tu po Mszy św. wstępował na pogadankę, na szklankę herbaty do księdza proboszcza Mikuckiego, którego prosi w swym „testamencie“, aby go po śmierci „pochował na kredyt“. Ks. Mikucki rzeczywiście przeżył poetę, przeżył także i swój kościołek, który 1864 r. zabrany został na cerkiew, a cała ludność miejscowa „nawrócona“ na prawosławie.

Do niedawna parafja prawosławna w Rukojniach liczyła podług danych rządowych około dwuch tysięcy parafjan, po ogłoszeniu pamiętnego manifestu o tolerancji religijnej pozostało zaledwo pięćdziesięciu. Mimo to oczywiście katolikom nie zwrócono ich świątyni, pobudowali oni sobie kościołek nowy, bardzo skromny, drewniany, lecz schludny, który, mimo dość znacznych rozmiarów, nie może objąć liczby wiernych, tak, że w niedziele i święta spostrzegamy tłumy, klęczące przed otwartą bramą świątyni, kornie ku Stwórcy zanoszące swe modły.

Oprócz wspomnianych był jeszcze jeden kościół w Rukojniach. Na samem końcu miasteczka, na lewo od drogi, spostrzegamy obszerny plac pusty, porośnięty chwastami, z poza których wyglądają kupy gruzów. Na tem to miejscu stał ongi pierwotny kościół katolicki, bardzo stary. Do tego kościoła czasu powrotu wielkiej armji 1812 r. schronił się na noc oddział Francuzów. Chłopi miejscowi dowiedziawszy się, że Francuzi wiozą kasę wojskową, cichaczem w nocy podparli z zewnątrz wrota kościelne, podpalili kościół, żywcem upiekli Francuzów i kasę zrabowali. Dotychczas w niektórych rodzinach wieśniaczych przechowują się stare monety francuskie, pochodzące z owego rabunku. Miejsce zaś, gdzie stał niegdyś kościół, gdzie popełniona została straszna zbrodnia, odtąd pustką stoi, w ciągu wieku nie dotknęła go stopa ludzka, i tylko krzyż nawpół spróchniały, pochylony, wyciąga ramiona błagalnie, jak gdyby ludowi temu chciał uprosić przebaczenie niebios za grzechy ojców.

Minąwszy Rukojnie, tuż za miasteczkiem, przy drodze, spostrzegamy podobne rumowisko; i to miejsce uważane jest przez lud za przeklęte. Tu przed laty stało karczmisko przydrożne, znane podróżnym zarówno jak miej-

scowym, pod nazwą „Krzyżówki“. Tutaj szukał schronienia w czasie ucieczki Szymon Konarski, tu go wytropił rodak-policjant Wędziagolski, by go oddać w ręce władzy. Do „Krzyżówki“ odtąd jakoś przestano uczęszczać, stała ona pustką, bez drzwi i okien, zanim nie rozpadła się w gruzy.

Dziś na rumowiskach kwitną rumianki, smółki czerwone i polne róże. Pracowite pszczółki zbierają z kwiecia obfitą daninę miodu, a w cieniu głazu zwinięty w kłąb, lśniąc metalową łuską, czyha gad zatruty. **jot.**

OD REDAKCJI.

Zeszyt niniejszy „Litwy i Rusi“ jest skromnym hołdem, jaki redakcja składa pamięci serdecznego „Lirnika wioskowego“. Kierunek artystyczny zeszytu niniejszego złożyliśmy w niezawodne ręce mistrza Ferdynanda Ruszczyca. Nie mówiąc już wcale o illustracjach, jak np. malownicze podwórze domu wileńskiego, gdzie zmarł Syrokomla, przepiękny widoczek Borejkowszczyzny, spowitej jeszcze w mgły poranne, pierwszym delikatnym odblaskiem budzącego się dnia oświetlonej, oraz pełna dziwnego nastroju kompozycja do wiersza Syrokomli „Pojechał Jasio wyszukać żony“ — wszystkie ozdoby graficzne, począwszy od pięknej karty tytułowej i ramek do portretu i widoków udatnie zastosowanych, kończąc na nagłówkach, zastawkach i końcówkach do poszczególnych artykułów, zostały specjalnie sporządzone, a to z zamiarem, aby całości nadać specjalny charakter i styl dawnych druków wileńskich z epoki 1840—60 roku.

Styl? alboż można mówić o takim stylu? Dotychczas znaliśmy rokoko, styl Ludwika XV, potem Louis XVI, empir, ostatnimi laty, w miarę usuwającej się wciąż perspektywy dziejowej, poczęliśmy się jako tako godzić ze stylem lat czterdziestych, czyli Ludwika Filipa, o stylu drugiej imperji (1850—70), jakoś dotychczas nie mówiono. A przecie patrząc dziś z odległości pół wieku na utwory sztuki czystej oraz przemysłu artystycznego owej epoki przyznać musimy, że miały one specjalny swój charakter, który słusznie stylem nazwać musimy. Zarzuci ktoś może, że wszystkie motywy ornamentacyjne, jakie spotykamy w tym czasie, są li tylko powtórzeniem dawnych; na to odpowiemy, że w twórczości artystycznej od wielu już wieków czegoś absolutnie nowego, niebywałego niema, ale też ś c i ś l e nic się nie powtarza. Każda epoka przerabiając na swój sposób istniejący już dobytek form artystycznych dodaje coś ze swego ducha. Renesans i empir wzorowane również na motywach klasycznych, przecie słusznie jako style odrębne są uważane.

W epoce Syrokomli ulubionym motywem zdobniczym był gotyk, jako ostatni być może oddźwięk romantyzmu, który zapanował w literaturze w pierwszej połowie XIX wieku. Dość jednak porównać ten „romantyczny gotyk“ z surową powagą średniowiecznych tumów i zamków, aby przekonać się, jak odmienne są to style. To samo powiedzieć można o odrodzonym (razem z krynoliną) rokoko czasów drugiego imperjum w stosunku do stylu Ludwika XV-go.

Inne ulubione motywy dekoracyjne 5-go i 6-go lat dziesiątka wieku ubiegłego, jak np. wzorowane na haftach—pomijamy; uważny czytelnik odnajdzie je w niniejszym zeszycie.

Pytanie jeszcze: Czy było to piękne? — Było charakterystyczne dla danej epoki, było jej szczerym wyrazem, a w tej szczerości jest piękno niewątpliwe.

Dzięki rocznicy 1812—1912 mamy obecnie powrotną falę empiru. Zeszyt niniejszy, który puszczamy w świat ku uczczeniu pamięci Syrokomli, jest pierwszą bodaj próbą odtworzenia w szacie artystycznej epoki jego, tej epoki, tak bogatej dla nas we wspomnienia, którą zakończył rok 1863.

Red.

Nadesłane książki.

„Wilno z przed stu laty w akwarelach Franciszka Smuglewicza“: wspaniałe album z rysunkami zdobniczemi Ferd. Ruszczyca i tekstem St. Peszki i W. Studnickiego, wyszło nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego. 1912 r. Cena 3 rb.

Jan Jakubowski: Studja nad stosunkami narodowościowemi na Litwie przed Unią Lubelską. Warszawa, nakładem Tow. Naukowego Warsz. 1912 r.

J. Talko-Hryncewicz: Szlachta Litewska, studjum antropologiczno-etnograficzne. Kraków, nakładem Akademji Umiejętności. 1912 r.



„Syrokomla“ — herb rodziny Kondratowiczów.
(Rys. Tad. Dmochowskiego).